Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 25 lipca 1937 r. Nr. 30

Szczęść Boże polskiej ziemi!



Już koszą łany złotych zbóż
„Szczęść Boże — polskiej ziemi..."
pokłonił się przedświt bladym dniem,
kłosami schylonymi...

Przyszli żniwiarze.
W cichość — pól —
spłynęła pieśń lipcowa...
a w łanach zbóż
szeleści wiatr —
szumią wierzbiny płowe...

Szczęść Boże wam wśród znojnej pracy.
„Szczęść Boże wam ludziska..."
— żałość spogląda z — pustki pól,
gdzie pierwsze bieleją rżyska...

Dzwonią wkrąg sierpy...
płynie pieśń —
srebrzy się — puchem ostów...
pot ścieka z twarzy opalonej
z tej chłopskiej doli prostej....!

Dzwonią wkrąg sierpy... szeleści wiatr,
„Szczęść Boże żniwiarze waszej pracy,
Śpiewa hymnami żniwnymi...
Szczęść Boże polskiej ziemi...!"

Józef Baranowski.

WOJCIECH HOLM

40)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Tu męczył się ten nader niegdyś elegancki kawaler, marznąc w swym także niegdyś eleganckim ubraniu, z którego już tylko strzępy pozostały.

Pracując, usłyszał niejedno łajanie i mimo, że gorliwość jego nie znalazła nigdzie prawie uznania i przynosiła mu bardzo mało, był jednak zadowolony, że nie musi żebrać.

Ale czasami nawet do tego był zmuszony, gdy roboty znaleźć nie mógł i upadał już z głodu i osłabienia. Wtedy pomimo wstydu, usta jego składały się do prośby o pożywienie lub nocleg.

Niejeden nielitościwy chłop wygnał go z przekleństwem ze swej chaty, inni zaś bardziej miłosierni, otaczali go prawdziwie chrześcijańskim współczuciem i ujęci jego piękną, a tak zbiedzoną twarzą, dawali mu chętnie posiłek i przytułek na czas krótki.

Jakże często ściskał Leon z wdzięcznością spracowaną, twardą dłoń chłopską, która się z nim kęsem dzieliła.

Jak często błogosławił w duchu zwykłą wieśniaczkę, która go pod swój dach przyjęła na nocleg i trochę słomy usłała na przypiecku.

Duma jego dawno już znikła i ustąpiła miejsca pokorze. Nie miał na razie innego życzenia, jak znaleźć jakieś uczciwe zajęcie, ale tego skromnego życzenia los mu właśnie odmawiał.

W tak smutnych warunkach odbywała się wędrówka Leona.

Nie miał odwagi zbliżyć się do swego rodzinnego miasta i pokazać na oczy ludziom, którzy go dawniej znali.

Nędzne życie i mozoły pieszej wędrówki w najgorsze powietrze, podkopały jego siły. Wlókł się już tylko z największym wysiłkiem. Siły jego odporne były zupełnie wyczerpane i nie miał do kogo udać się na spoczynek i nabranie nowych sił.

Zbliżał się czas Bożego Narodzenia.

Biedny wędrowiec nie spostrzegł nawet, jak mu czas upłynął. Dopiero w dzień Wigilii, przypomniał sobie, co to uroczysty wieczór.

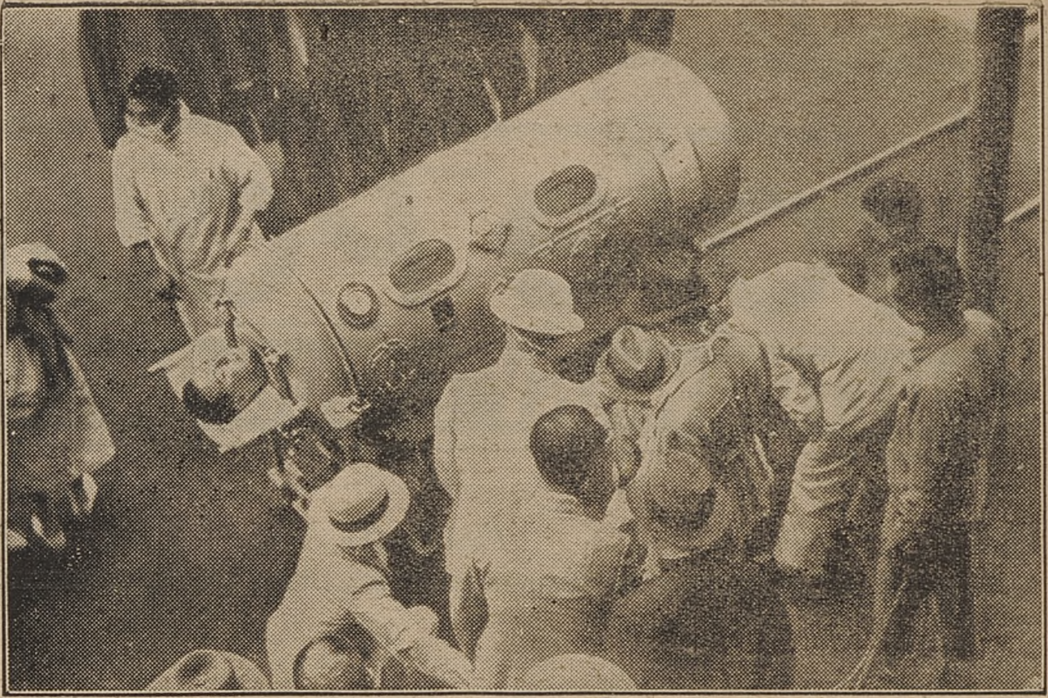
Już zmierzch zapadał, gdy przechodził przez miasteczko, uderzające tym, że miało bardziej niemiecki charakter, niż inne miejscowości tej okolicy.

Przechodząc przez źle brukowane i gorzej jeszcze oświetlone ulice, zaglądał bezmyślnie do promieniejących światłem mieszkań, których okna zwyczajem małomiejskim nie były zasłonięte.

Nagle oko jego spoczęło na tak miłym obrazku rodzinnym, że stanął jak wryty.

W przyjemnym, ale skromnie urządzonym pokoju, wokoło oświetlonego Bożego drzewka, zgromadzeni byli ojciec, matka i grono dzieci podskakujących wesoło ze swoimi skromnymi podarunkami. Na twarzach ich odbijała się największa, najniewinniejsza radość.

Leonowi przypomniało się jego własne radosne dzieciństwo. Zobaczył się sam szczęśliwym dzieckiem, bawiącym się u stóp swych rodziców. Widział oczy



W Szanghaju (Chiny) zachorował ciężko na zapalenie płuc syn jednego z bogatych kupców w Chicago (Stany Zjednoczone). Ponieważ ojciec chciał mieć chorego syna przy sobie, przetransportowano go przez Ocean w żelaznej rurze, która otrzymała miano sztucznych płuc. Tylko w tego rodzaju aparacie (z regulowanym ciśnieniem powietrza) można było przewieźć chorego, gdyż inny sposób transportu groził nieuchronnie śmiercią. Na zdjęciu załadowywanie chorego na statek.

ich spoczywające na sobie z miłością i dumą, a w uszach brzmiały mu niezrozumiałe wtedy dla niego słowa, w których rodzice jego budowali świetne plany przyszłości dla swego synalka.

O, jak dawno już minęły te błogie czasy!

Groby drogich rodziców jego dawno już pokryte były bluszczem, a jego własny spokój, szczęście, duma i niewinność znikły bezpowrotnie.

Łzy zakręciły się w oczach bezdomnego żebraka.

Rozpacz ostrymi szponami szarpała mu serce. Przyśpieszył kroku, aby stracić z oczu tę scenę domowego szczęścia. Nie miał on nic wspólnego z uczciwymi, zadowolonymi ludźmi! Nie śmiał zapukać do nich i prosić o przytułek. Może byliby go chętnie przyjęli, ale jemu pobyt wśród nich byłby trudny wobec wzburzającego się w piersi żalu i skruchy.

Nie, nie mógł patrzeć na ten obraz zadowolenia i szczęścia i nie myśleć o raju swym, który na zawsze postradał.

Nieszczęśliwiec pędził tak szybko, jak go tylko nogi mogły nieść. Nie miał ani grosza na posiłek i nocleg.

W dniu tym, w którym wszystko spoczywało i święciło nie mógł spodziewać się żadnej roboty i zdany był na miłosierdzie ludzkie!

Przeszedłszy kilka ulic, znalazł się na końcu miasteczka, gdzie już tylko tu i ówdzie stały pojedyncze domki.

Trapiony głodem i znużeniem, postanowił wreszcie zapukać do najbliższych drzwi i prosić o przyjęcie.

W tym celu zbliżył się do wielkiego, pięknego domu, z którego nie biły światła, ani nie dochodził go śmiech dziecięcy i zapukał nieśmiało do zamkniętych drzwi.

Wkrótce usłyszał człapanie pantofli i zobaczył zbliżającą się ku niemu ze świecą w ręku podstarzałą jejmość, która opryskliwie go zapytała, czego sobie właściwie życzy.

Gdy przedstawiał swą prośbę, zbliżył się do nich stary, gderliwy mężczyzna w bogatym, chłopskim stroju. Zobaczywszy jejmość rozmawiającą z jakimś obcym, mizernie wyglądającym człowiekiem, zaczął krzyczeć na głos!

— Co ci na myśl przychodzi, Urszulo? Zwariowałaś chyba, że gadasz z jakimś tam oberwańcem? Może go jeszcze chcesz w dom wpuścić, aby co ukradł? Zabieraj się w tej chwili, ty łotrze, albo cię psami wyszczuję! He, Hektor! Ajax!

Na świst jego przybiegły dwa olbrzymie psy, strzeżąc ostre swe zęby na biednego przybłędę.

Przestraszony Leon zaczął uciekać, ale psy pogoniły za nim i pokąsały go tak, że krew polała mu się strumieniem.

Bogaty gospodarz, który tak nielitościwie pokazał drzwi, nie zważał też na okrzyk boleści zranionego. Zawołał tylko psy napowrót i zamknąwszy starannie drzwi na klucz, wszedł do wnętrza swego domu.

Z trudem wyniósł się Leon z dworku, z którego go tak niegościnnie wypędzono. Rana bolała go okropnie i utrudniała chodzenie. Bezsilność jego wzmagała się, a głód dokuczał okrutnie.

Wreszcie nie mógł już iść dalej. Jak daleko okiem sięgnął, nie widział nigdzie domu. Nie byłby się też odważył zapukać do jakiegoś mieszkania ludzkiego po ostatnim przykrym doświadczeniu.

Śmiertelnie znużony siadł na kamień przydrożny i oparł głowę o pień drzewny.

Śnieg zaczął prószyć, a białe, lśniące płaty, tańczące mu przed oczyma, układały się w dziwne widziadła i obrazy.

Leon miał niejasną świadomość, że to był święty wieczór, a nie czuł więcej całej okropności swego położenia. — Wszystkie przeżyte dotąd wigilie przesuwały się jedna po drugiej przez jego duszę. Myślał o Hortensji.

Jak szczęśliwie mógłby był z nią spędzić ten wieczór. Potem myślał o jej losie i co się z nią stało. Czy zapomniała już o nim, czy też myślała jeszcze czasami? Czy przebaczyłaby mu,

gdyby go zobaczyła tak wynędzniałego i zrozpaczonego?

Myśli Leona stawały się coraz bardziej niejasne, zagmatwane. Czuł, że go przytomność opuszcza i był pewnym, że godzina śmierci jego nadchodzi. Zbierając raz jeszcze wszystkie zmysły, wyjęknął:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! — poczem stracił zupełnie przytomność.

Śnieg padał dalej bezszelestnie a gęsto, otulając ziemię i bezwładnie leżące na niej ciało Leona miękkim, białym całunem.

Miałby to być koniec biednego Waldau'a? Umrzeć jako bezdomny żebrak na gościńcu i tam znaleźć swój wczesny grób?

ROZDZIAŁ CLV

Miodowe miesiące

Jak piękne było jednak życie! Ile szczęścia i rozkoszy było na tej ziemi! — myślały Inez i Fides, obie panny Snob, obecnie szczęśliwe narzeczone.

Jakże błogo schodził im teraz czas w towarzystwie kochających i przystojnych narzeczonych, którzy nadzwyczajną galanterją otaczali powiędłe swe narzeczone, wyglądające coraz starzej i brzydziej w wyszukanych, młodocianych swoich strojach. Znosili im codziennie najpiękniejsze kwiaty i upominki, tylko czułościami nie szafowali. Ale Inez i Fides tłumaczyły to sobie tym, że James i Wilfred byli dlatego tak oziębłymi i całowali je tylko w ręce, zamiast w policzki i w usta, że były bardzo dystyngowane.

Szczęście panien Snob doszło do zenitu, gdy otrzymały listy od swych arystokratycznych nieznanych wcale teściów.

Lord Sommerselshire i hrabia Bogshoot nie mieli wprawdzie bardzo wykwintnego stylu i poprawnej ortografii, ale czyż można to było wziąć za złe dwom takim starym szlachcicom? Mając tak rozległe dobra, mieli oni ważniejsze rzeczy na głowie, niż ćwiczyć się w stylu i było to bardzo uprzejmie z ich strony, że każdy z nich napisał list do swej przyszłej synowej. Oba listy dołączone były do listów panów Tuliwera i Wakera i obaj narzeczeni wręczyli je swym paniom prawie równocześnie. Tak samo odpowiedź na te listy napisana przez Inez i Fides z nadzwyczajną starannością, miały być wysłane do Anglii, jako załączniki do listów Tulliwera i Wakera.

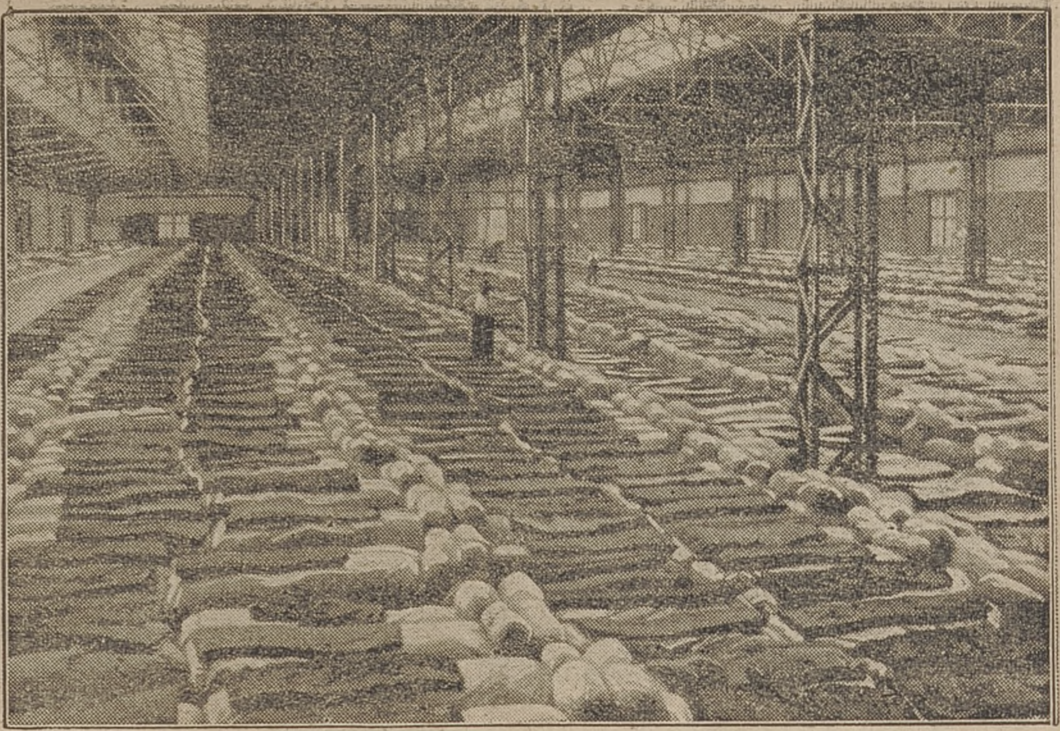
Cała rodzina państwa Snob rozpływała się w szczęściu.

Mama Snob wołała od czasu do czasu:

— Jak to poetycznie, jak to romantycznie! Co za szczęście mają nasze ulubienice! Gdyby tak wiedziała pani Budcher.

Ta pani Budcher była żoną kramarza z Whitechapel i dawną przyjaciółką pani Snob, od której się jednak odsunęła na rozkaz swych córek, gdy rodzina Snob się podniosła.

I papa Snob był zadowolony, że podstarzałe jego córki nareszcie pod czepek się dostaną. Wprawdzie milczący



Ogromna sala sypialna, w której noclegują 25.000 osób zwiedzających światową wystawę w Paryżu

z natury, nie ubierał zadowolenia swego w słowa, ale obrzucał Tulliwera i Wakera spojrzeniem pełnym życzliwości.

Rodzina Snob obchodziła Wigilię Bożego Narodzenia w Rzymie w prawdziwie angielski sposób i z wielką okazałością.

Tulliwer i Waker obdarzyli swe narzeczone pięknymi, ale niezbyt drogimi podarunkami.

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia miało się odbyć podwójne wesele, bo obaj panowie nalegali na to, a Inez i Fides niemniej sobie tego życzyły.

Rozesłano zaproszenia do wszystkich arystokratycznych krewnych Tulliwera i Wakera, ale obaj narzeczeni sami pisali adresy i nadawali listy własnoręcznie na pocztę. Jednak ku wielkiemu swemu utrapieniu podostawali w odpowiedzi na te zaproszenia same odmówienia.

Lord Sommersetshire cierpiał na podagrę i jechać nie mógł.

Lord Elster, brat najstarszy Tuliwera, złamał nieszczęśliwie nogę, inaczej byłby obecnym na weselu brata.

Sir Ewerara Tulliwer, drugi brat, był z pułkiem, w którym służył, w Indiach, nie mógł tedy przybyć na wesele.

To samo było z rodziną Wakera. — Wszystkim coś przeszkadzało. Nawet jego młodzi przyjaciele, wszyscy książęta, hrabiowie, markizowie, baronowie nie mogli zdecydować się na tak uciążliwą podróż z Anglii do Rzymu.

Że zaś Snobowie nie zaprosili swej rodziny, składającej się z samych handlarzy, farmerów, a nawet rzemieślników, więc wesele wobec tego musiało się odbyć w kółku rodzinnym.

Pani Snob ze łzami w oczach myślała o tym, jaka arystokracja mogła była siedzieć przy jej stole, podczas gdy teraz musiała się zadowolić dwoma francuskimi komiwojażerami, którzy przybyli na wesele w charakterze świadków.

Mimo to wesele było bardzo wspaniałe.

Obie panny wyglądały wprawdzie w swoich drogich , ślubnych sukniach, jak mumie egipskie, przybrane na śmiech w jasne suknie, ale natomiast panowie młodzi wyglądali pięknie i okazale.

Mama Snob zalewała się radosnymi łzami, a papa rozposzował się wspaniałymi potrawami i winami, które na ucztę weselną zamówił. Jadł i pił tak wiele, że zięciowie mieli nieśmiałą nadzieję, iż starego „szlak trafi“, ale mylili się, gdyż silny organizm byłego kramarza wytrzymał wszystko.

Obie pary wyjechały tylko na krótko do południowych Włoch i miały się znowu wkrótce w Rzymie z rodzicami złączyć.

Papa Snob wręczył każdemu z swych zięciów pełną sakiewkę na drogę. Tak Tulliwer, jako też i Waker, wzbraniali się najpierw dumnie przyjąć taki prezent, nawet od kochanego „papy“, ale w końcu dali się przecież uprosić, tymbardziej że, jak utrzymywali, weksle ich się spóźniły.

Osamotnieni państwo Snob czuli się tak szczęśliwymi, jak podczas własnych swych miodowych miesięcy. Mama Snob mówiła znowu narzeczem ludowym, jak za dawnych dobrych czasów w Whitechapel, a papa jadał więcej niż zwykle.

Siedzieli właśnie spokojnie obok siebie, gdy ktoś zapukał głośno do drzwi. Był to płatniczy hotelu „Quirinal“, który dziwną francuzczyzną i angielszczyzną porozumiewał się z obcymi gośćmi.

Prosił o przebaczenie, że przeszkadza, ale przychodzi w ważnej sprawie, gdyż obaj zięciowie ,tak Tulliwer jako też i Waker zapomnieli w pośpiechu wyrównać swoje rachunki. Prosił więc pana Snoba, aby to uczynił.

Mister Snob bardzo się zasumował, ale szturchaniec jego żony pod stołem, pouczył go, że wypada ratować honor rodziny i nie zdradzać się ze swoim kramarskim duchem. Kazał sobie więc przedłożyć owe „małe rachuneczki“,



Lato — to okres sportów wodnych. Na zdjęciu grupa sportowców z łodzią na pomoście przystani wioślarskiej.

które wynosiły kilka tysięcy lirów za cały czas pobytu obu magnatów angielskich w „Kwirynale".

Gdy Giacomo otrzymał tę sumę i oddalił się, wybuchła długo tłumiona złość pana Snoba, ale mama Snob umiała wnet go uspokoić, perswadując, że Tulliwer i Waker zapomnieli o tej bagatelce w tak przecież ważny dzień ich ślubu i chcieli zapewne wyrównać ten mały rachunek po swoim z Włoch powrocie.

Takimi argumentami wstrzymała wreszcie potok słów swego męża.

— — — — — — — —

W kilka dni po ślubie, znajdujemy Inez z Tulliwerem w elegancko urządzonym pokoju hotelowym w Neapolu.

Młoda kobieta leży na kanapie, w śnieżnym negliżu, w którym jej jednak nie jest nadzwyczajnie do twarzy i przewraca kartki jakiegoś dziennika. Ma zadowoloną i uszczęśliwioną minę i spogląda od czasu do czasu na swego małżonka.

Mister Tulliwer siedzi przy kominku z wybornym cygarem w ustach i popija dobre stare wino „Bordeaux", a mimo to jest zły i posępny.

— Słuchaj Inez, tu w tym Neapolu diabelnie jest nudno, czy nie odczuwasz tego? — zapytał młody małżonek.

— Przy moim boku nie powinieneś się nigdzie nudzić — odpowiedziała pani Tulliwer nader podrażniona.

— Rozumie się, mój aniołku — uspakajał pan Tulliwer żonę — ale sądzę, że byłoby nam przyjemniej np. w Paryżu.

— Najlepiej byłoby spędzić sezon w Londynie — rzekła Inez.

— Co za niemądra myśl, moje kochane dziecko — oburzył się młody małżonek — w Londynie nie mógłbym ci poświęcić ani jednej minuty, tyle mam tam różnych obowiązków. Ojciec, klub, niezliczeni krewni lub znajomi, którzyby nas obsypywali zaproszeniami na obiady, bale, gry i zabawy ogrodowe i tym podobne. Musiałabyś być przedstawioną królowej i odwiedzać wszystkich krewnych. W Paryżu zaś jesteśmy zupełnie wolni i nie musimy się do niczego przymuszać, przytem Paryż jest ogromnie miły i gdybyś znała go, nie zawahałabyś się ani na moment przed oddaniem mu pierwszeństwa nad Londynem.

Sezon londyński był wprawdzie dla pani Inez Tulliwer bardzo ponętny, a wszystko, czego się mąż jej obawiał, miało dla niej urok nowości, ale i miesiąc w Paryżu nie był do pogardzenia. Chciała tam równocześnie uzupełnić swoją wyprawę, aby imponować później w Londynie dystyngowanym swoim krewnym, paryskim szykiem.

— Dobrze, mój kochany ,— rzekła słodkim głosem pani Tulliwer — jak ty chcesz Paryż ,to i ja się zgadzam.

Uległość jej nie wywołała żadnego wrażenia na jej mężu.

— Nie pożałujesz tego — odpowiedział Tulliwer śpiesznie. — Wiesz co? Wracajmy natychmiast do Rzymu, porozumiemy się z rodzicami i pojedziemy zaraz do Paryża.

— Z Rzymu wprost do Paryża, nie wstąpimy wpierw do Londynu? — zapytała młoda kobieta niezadowolona.

Byłaby się tak chętnie zaprezentowała swoim przyjaciółkom w swojej nowej godności jako synowa lorda Sommersetshire.

— Ależ, moje drogie dziecko ,jak możesz coś podobnego mówić? — oburzał się pan Tulliwer. — Z Rzymu przez Londyn do Paryża? I to mówi tak rozsądna osóbka, jak ty?

— Nie widzę w tym nic głupiego? — rzekła Inez obrażona. — Jedziemy przecież dla swej przyjemności i stać nas, Bogu dzięki, na to.

— Ale à propos — przerwał jej młody małżonek — chciałbym jeszcze coś o interesie z tobą pomówić. Wiesz, że ja jako młodszy syn mam tylko małą rentę, i że mimo największej chęci nie mógłbym cię, aniele mój, za pomocą własnych środków otoczyć takim przepychem, jakby chciał.

Zamilkł i spojrzał wymownie na żonę.

— Nie troszcz się o to ,kochany mężulku — uspakajała go Inez — na prośby moje zdecydował się papa dać ci na rękę cały mój posag, wtedy gdy wrócimy do Anglii. Będzie to nowym dowodem mej wielkiej miłości.

W dowód uznania ucałował Tulliwer zwiędłe policzki swej żony, którym nawet róż nie dodawał świeżości, lecz gdy Inez chciała odpowiedzieć na jego czułości wywinął się zgrabnie z jej objęć.

Ale wracając do rzeczy — zaczął znów pośpiesznie, dlaczego czekać z tym aż do powrotu do Angli? Nie będzie to przyjemnie dla człowieka mego stanu i pochodzenia prosić ojca o każdy szeląg z osobna! Jesteś taką nierozsądną, moja droga Inez, staraj się więc nakłonić papę, aby tę sprawę uregulował jeszcze w Rzymie.

Tulliwer poparł swą prośbę u żony, głaskając od niechcenia jej policzki, Inez zaś uścisnęła serdecznie jego rękę i tak rozczulona była jego pieszczotami, że przyobiecała użyć całego swego wpływu na ojca, aby życzeniu jego zadość uczynić.

Pukanie do drzwi przerwało dalszą ich rozmowę na ten temat. Przybyli państwo Waker w eleganckich strojach podróżnych; on przystojny i świeży, ona brzydka i przekwitła.

— Jakto? Już z powrotem z Sycylii? — zawołała Inez zdziwiona ,podczas gdy obaj przyjaciele porozumiewali się wzrokiem.

— Nie byliśmy nawet tam! — zawołała pani Waker, rzucając się niedbale na krzesło — mamy z Wilfredem zupełnie inne plany. Wracamy do Rzymu, aby się z rodzicami umówić i jedziemy na resztę zimy do Paryża.

— Co? — wykrzyknęła pani Tulliwer zdziwiona. — Wy do Paryża? Co za dziwny traf, żeśmy przed chwilą to samo umówili. Ale, powiedz mi Fides, dlaczego nie jedziecie do Londynu?

— Chciałam to początkowo — odparła Fides — ale Wilfred przekonał mnie, że lepiej najpierw być w Paryżu, a potem osiąść już na stałe w Londynie.

Podczas rozmowy sióstr, porozumiewali się obaj przyjaciele szeptem i widocznie zadowoleni byli z tej pogawędki, bo mieli obaj wesołe miny, gdy się do żon swych zwrócili.

Obie pary wróciły równocześnie do Rzymu, gdzie ich rodzice przyjęli bardziej zdziwieni, niż uradowani.

Gdy przyszło do ułożenia sprawy posagowej, okazało się, że papa Snob musi jechać do Anglii dla podniesienia tak wielkiej sumy pieniężnej. — Chciał też, aby i zięciowie byli w Londynie, aby uniknąć różnych niewygodnych w oddaleniu formalności.

Obaj zięciowie byli zrazu przeciwni natychmiasotwej swej podróży do Londynu, ale gdy ich papa Snob przekonał, że wrazie ich tam nieobecności przeciągnie się wypłacenie posagu na miesiące, zdecydowali się nareszcie na tę podróż.

Dziwnym sposobem ostrzygli sobie obaj zięciowie brody, co go zmieniło zupełnie ich wygląd. Tulliwer zachorował nagle na oczy i musiał nosić okulary, co go bardzo szpeciło. Waker zaś zranił sobie policzek w drodze i zalepił go czarnym angielskim plastrem, nie poradziwszy się nawet lekarza, ani nie pokazawszy rany swej żonie.

sząc się na swych arystokratycznych krewnych i na stanowisko, które przez nich zajmą w towarzystwie.

Mimo tych przeciwności, przybyła rodzina Snob wkrótce do Londynu, cie-

ROZDZIAŁ CLVI

Numer 39

Prosimy szanownych czytelników, aby raz jeszcze uprzytomnili sobie wigilię.

Noc zapadła, śnieg przestał padać, a zaczęło okropnie marznąć.

Księżyc, przecisnąwszy się przez chmury, oświecał jasno białe masy śniegu.

Na gościńcu nie było żadnego ruchu. Tylko jeden wózek posuwał się w stronę miasta, a w nim siedział jakiś dobrze futrem okryty mężczyzna.

— Bogu dzięki! — szepnął — że jestem już prawie w domu. Jak radośnie przywitają mnie żona i dzieci, bo drzewko wszak ma się zaświecić dopiero jak wrócę. Nędzne to życie lekarza na prowincji! Nie ma spokoju we dnie i w nocy. Nawet w dzień Wigilijny, gdy każdy człowiek spędza w kółku rodzinnym, ja muszę śpieszyć do chorych!

Myślał następnie o chorym, którego dopiero opuścił, o rozpaczającej żonie chorego i o niepocieszonych dzieciach klęczących u łoża ojca; potem przypomniał sobie swoje własne, miłe gniazdo.

Przedstawiał sobie biegnącą naprzeciw niego ładną i miłą żonkę i cisnące się ku niemu dzieci i rzewne jakieś uczucie napełniło mu duszę. W sercu uczuł wzbierającą się wdzięczność dla Boga i potrzebę podzielenia się z kimś swym szczęściem.

Wodził wzrokiem po zaśnieżonej okolicy. Wtem spostrzegł opierające się o drzewo ciało ludzkie, którego kształty w jasnym świetle księżycowym dokładnie z pod warstwy śniegu rozpoznać było można.

Zaniepokojony, zwrócił uwagę swego furmana na ten dziwny kształt i pytał, co o tym sądzi.

— To pewnie jakiś pijak! — rzekł furman wzruszając ramionami. — A może zamarzł już pod śniegiem?

To rzekłszy, uderzył z bicza i chciał dalej jechać, bo śpieszno mu było do ciepłego pokoju i do jadła.

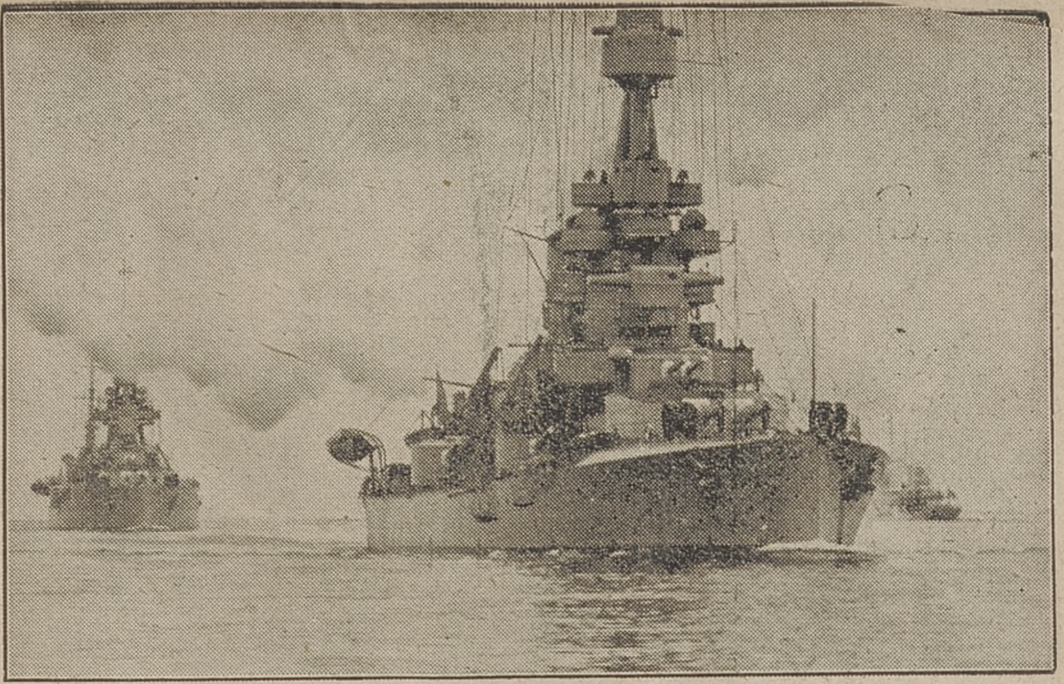
— Stań! — rozkazał doktór ostro — muszę zobaczyć, czy nie da się nam jeszcze uratować życie ludzkie.

Skoczywszy z woza, zbliżył się do drzewa i odgarnąwszy śnieg krzyknął:

— Jest to żyjący jeszcze człowiek. Pomóż mi go podnieść, Franciszku. Zaniesiemy go na wóz, bo niepodobna tu go zostawić.

Furman nie śmiał oponować. Zeskoczywszy z kozła, pomógł doktorowi otrząsnąć śnieg z nieprzytomnego człowieka i zanieść go na wózek. Okryli go ciepłymi kocami, a potem wyjął doktór z kieszeni flaszkę koniaku, którą zawsze w zimie nosił przy sobie i zaczął nim nacierać pulsa zemdlonego i wlewać mu kroplami napój w usta.

Po kilkuminutowej akcji ratunkowej nieprzytomny westchnął ciężko i obudziwszy się, począł się rozglądać wo-



Wizyta szwedzkich okrętów wojennych w Niemczech.

kolo ze zdziwieniem. Nie rozumiał widocznie jeszcze swego położenia. Szeptał tylko coś cichym, lecz czułym głosem, jak gdyby do ukochanej kobiety.

Na pytania doktora nie odpowiadał, a z podwyższonej temperatury jego ciała i z nieprzytomnego fantazjowania poznał rytunowany lekarz, że była to gorączka.

— Musimy go zawieźć do szpitala, bo jest ciężko chory — rzekł doktór.

I furman zmiękł na widok okropnego stanu chorego. Bez oporu już usiadł na kozieł i skierował konie w stronę szpitala.

Tam przyjęto pacjenta bez trudności, wobec tego, że sam doktor go przywiózł.

Gdy dozorca szpitalny rozbierał Waldaua, spostrzegł doktor ze zdziwieniem, że garderoba znalezionego, mimo, że zmoszona, wytarta i łatana, okazywała ślady dawnej elegancji.

Bielizna chorego była cienka i stosunkowo bardzo czysta.

— On pewnie sam sobie prał koszulę — rzekł dozorca — bo nie jest farbowana ani krochmalona. Kobiety inaczej piorą.

Po tej uwadze, doktor jeszcze zdwoił obserwację swego przygodnego protegowanego. Coraz więcej przechodził do przekonania, że ma przed sobą jakiegoś wykolejonego człowieka z dobrej rodziny, bo i ręce jego były delikatne i nogi zgrabne.

Ze współczuciem patrzył na piękną, ale wynędzniałą twarz chorego i wychudłe jego ciało.

— Biedny człowiek — pomyślał — co za los doprowadził go do tej nędzy? Ale, czy zasłużył, czy nie, jest pożałowania godny.

Obcy nie miał przy sobie pieniędzy, ani kosztowności. Jedynym klejnotem jego była obrączka ślubna, zawieszona na piersi. Zdjęto ją do przechowania, a lekarz oglądając ją, zobaczył na wewnętrznej stronie drobne „H" zamiast używanych dwu liter, i datę sięgającą zaledwie kilka miesięcy wstecz.

Właśnie objawiali dozorcy swe zdziwienie, że nie znaleźli przy chorym żadnej legitymacji, gdy doktór ujrzał sterczący portfel w jednej z kieszeni. Był tam paszport na imię studenta prawa Leona Waldaua z Wiednia, sekretarza baronowej von Wimpfen. Opis osoby zgadzał się zupełnie z powierzchownością chorego człowieka.

Podczas czytania paszportu zasępiła się rozumna i miła twarz doktora. Nie mieszkał on zawsze w tym małym miasteczku, lecz przed kilku dopiero dniami przybył tu z Wiednia, gdzie nie mógł znaleźć praktyki. Mieszkając w stolicy, dowiedział się przypadkowo o reputacji baronowej i o jej awanturach i niedawno dopiero czytał w jakiejś zagranicznej gazecie o stosunku jej do światowej sławy włamywacza i mordercy, Juliusza Lepetit, zwanego baronem Ogrowskim. Z sekretarstwa u osławionej tej kobiety, wysnuwał doktór, co do swego protegowanego, równie śmiałe, jakoteż bardzo straszne wnioski.

— Po co tej kobiecie sekretarz i to tak młody zdrowy i przystojny — myślał młody lekarz. — Był to zapewne tylko płaszczyk, pod którym zabrała kochanka swego do Włoch. Jakżeż to jednak pogodzić z obrączką ślubną, która pewnie była jego własnością? W fantazji swej widział doktór młodą, opuszczoną kobietę, zdaną na łaskę i niełaskę losu, na to, aby mąż jej mógł się włóczyć z lekkomyślną baronową. Przeczuł całą tę przepaść winy i zbrodni i ochłódł znacznie dla swego pupila. Czyżby współczucie swoje trwonił dla niegodnego? Zrobił dla niego, co mu wskazywała ludzkość i miłość bliźniego, uratował tego człowieka od niechybnej śmierci, oddał go w dobrą opiekę i zapewnił mu staranną pielęgnację. Mógł więc teraz z czystym sumieniem wracać do domu, gdzie oczekują go z tęsknotą, i tak już się dość spóźnił.

Dawszy jeszcze niektóre rozkazy, opuścił pośpiesznie szpital.

Myśli jego odbiegły od nieszczęśliwego i zwróciły się do niewinnych uciech rodzinnych, które go w domu oczekiwały.

Wina Leona odtrąciła od niego mą-



W małym kościółku wiejskim w Kwillinge (południowa Szwecja) odbył się ślub księcia szwedzkiego Karola z hrabiną Elzą von Rosen. Na zdjęciu młoda para opuszczająca kościół po uroczystości zaślubin.

drego i życzliwego obrońcę, bo doktór był filantropem, który chętnie pomagał niewinnie cierpiącym i ułatwiał im walkę o byt, jednak dla dawnego kochanka baronowej Wimpfen stracił zupełnie sympatię i nie miał najmniejszej chęci opiekować się nim nadal.

Leon nie przeczuwał nawet jakiego stracił przyjaciela. Apatycznie poddawał się wszystkim procedurom kręcących się koło niego dozorców. Pozwolił się wykąpać, przebrać w czystą bieliznę i położyć na twarde łoże.

Mimo ciągłych zimnych okładów, gorączka jego ciągle się wzmagała. Majaczył o swym dzieciństwie i rozmawiał ze swymi rodzicami. Potem znów zdawało mu się, że jest przy swej żonie i przemawiał czule do niej i dawał najpieszczotliwsze imiona. Wreszcie ogarnął go okropny niepokój. Zdawało mu się, że prześladuje go jakiś zły demon w postaci baronowej Loli Wimpfen. Przerażony i zrozpaczony chciał uciec, ale nie mógł, bo przed sobą miał przepaść, a za sobą złe duchy. Z mąk tych mógł go uwolnić jeden skok w przepaść, ale wahał się, trzymały go jakieś niewidzialne ręce.

Tak fantazjował chory. Czasem zrywał się z łóżka i patrzył dziko przed siebie osłupiałymi oczyma. — To znowu zdzierał kompresy z rozgorączkowanej głowy w myśli, że wydrze się ze szponów prześladującego go demona.

Gdy dyrektor szpitala obchodził jeszcze późno wieczorem sale, skonstatował u nowego pacjenta silne zapalenie mózgu, spowodowane wilgotnym powietrzem i złym życiem.

Odtąd nie egzystował pod własnym nazwiskiem. Tabliczka nad jego łożem oznaczała numer 39 i pod tym numerem znali go dozorcy i lekarze.

Tymczasem młodziutką jego żonę trawiła tęsknota i żałoba. Gdyby wiedziała, gdzie się on znajduje i jaki los go spotkał, byłaby rzuciła wszystko i pospieszyła do łoża swego ukochanego, aby go z narażeniem własnego życia uratować. Ale Hortensja nie miała najmniejszego pojęcia o jego nędzy, podczas, gdy on był bliskim śmierci i zdany na obce, nielitościwe ręce i obojętne spojrzenia, opuszczony od całego świata, za to, że umiał opuścić młodziutką swą żonę i zostawić ją na pastwę zepsutego świata.

Bóg jest sprawiedliwy! Karze on bowiem grzesznika nieuniknioną konsekwencją własnego czynu. Ale Bóg jest i miłosiernym; nie daje On zaginąć skruszonemu!

ROZDZIAŁ CLVII.

Udana ucieczka

Opuściliśmy wesołą Jankę w chwili, gdy tajny agent Sperling, alias Mehlhose ofiarował swoją opiekę, by ją ochronić od napaści szajki.

Mimo, że towarzystwo Sperlinga było jej nieprzyjemnym, nadrabiała miną, aby nie dać po sobie poznać tej niechęci. Na pierwszy rzut oka poznała w nim mężczyznę, który ją w sali anatomicznej tak bacznie obserwował i przemówieniem swym tak bardzo przestraszył.

Będzie mnie na pewno wypytywać — pomyślała — ale pozbędę się tego nieznośnika w ten sposób, że stale będę odpowiadała, że nic nie wiem.

— Znamy się już trochę moja pani — zaczął agent grzecznym tonem — nie jesteśmy sobie zupełnie obcymi.

— To musi być pomyłka — odparła Janka zmieniając głos i starając się przybrać inny chód i ruchy — nigdy pana nie widziałam.

— Przecież miałem już szczęście widzieć się z panią w sali anatomicznej.

— W sali anatomicznej? — zapytała Janka niby przerażona. — Pan się myli, bo ja nigdy w życiu nie poszłabym tam. Nie mogłabym przez całą noc oka zamknąć po tak okropnej wizycie! Kiedyż to miało być, to domniemane spotkanie się nasze?

Agent wymienił dzień i godzinę spotkania.

— Patrzcie! — zawołała Janka, patrząc niewinnie na Sperlinga — tego dnia nie byłam nawet we Wiedniu, lecz w Elzenhof u swej przyjaciółki, pani Potschamer.

— Moja pani — odpowiedział na to agent poważnie — nie wiem jakie powody każą pani nie przyznawać się do naszego spotkania, ale muszę z góry ostrzec, że mnie pani nie zmyli. Wiem, com widział, i gdyby mi pani tu sprowadziła dziesięciu świadków, którzyby przysięgali, że pani wtedy nie była we Wiedniu, nie uwierzyłbym temu.

— Niedowiarstwo pana obraża mnie — odpowiedziała Janka dotknięta — cóżby mi na tym mogło zależeć, żeby nie przyznawać się do spotkania, któreby rzeczywiście miało miejsce?

— Nie znam powodów pani — rzekł na to Sperling alias Mehlhose — nie chcę się z panią sprzeczać; przeciwnie wolałbym dobrze z nią żyć.

Nie będzie to zarozumiałością z mej strony, gdy powiem, że to dla obu stron byłoby korzystnym, i to nawet bardzo korzystnym. Jestem sam na świecie i mam znaczny majątek. Gdybym miał szczęście posiąść tak piękną przyjaciółkę, mógłbym jej urządzić bardzo wygodne życie.

Było to śmiałe przemówienie. Wprawne oko agenta ani na chwilę nie łudziło się co do stanowiska Janki w świecie, mimo skromnych minek tej ostatniej.

Słowa jego były wielką pokusą dla lekkomyślnej dziewczyny, ale obawa jej przed despotycznym kochankiem tak była wielką, że nie miała odwagi ośmielić agenta, mimo, że on jej się więcej podobał niż stary skąpy i szorstki Hai.

Gdy Janka milczała, towarzysz jej mówił dalej:

— Pani jest jeszcze młoda — i serce pani bije jeszcze ciepło dla bliźnich. Chcę się pani zwierzyć, mimo, że pani okazuje mi nieufność. Przyjechałem do Wiednia, aby wpaść na trop pewnej młodej damy, która znikła w zagadkowy sposób.

Mam święte przekonanie, że pani mogłaby mi co do tego dać pewne wskazówki. Od dobrej woli pani zależy zmienić rozpacz kochającej matki i niepocieszonego ojca w największą radość. Czy może pani skazać całą tę rodzinę na wieczną rozpacz? Mam lepsze wyobrażenie o sercu pani! Nie ma przecież na świecie większej radości, jak łagodzić nieszczęście swoich współbraci. A pani, mając to w swej mocy, mogłaby z tego nie korzystać?

Janka nie była złą i chętnie byłaby powiedziała agentowi, co o sprawie tej wie, gdyby nie haniebna rola, którą ona sama w tym odegrała.

— Mój Boże! — rzekła po kłopotliwej pauzie — jakżeż chętnie pomogłabym panu, gdyby to było w mojej mocy. Ale ja nie mam o tej całej sprawie najmniejszego pojęcia.

— Czy mogłaby pani przysiąc? — zapytał Mehlhose gniewnie — że nie zna panny Sylwii Herbert?

— Obraża mnie pan tą swoją niewiarą! — zawołała Janka ostro — czem zasłużyłam na taką niewiarę?

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie! — odpowiedział towarzysz pięknej dziewczyny. — Wykręca się pani!

— Jakiem prawem urządza pan sobie ze mną śledztwo? — spytała Janka niechętnie.

Agent zbliżył się teraz do niej i szepnął kilka słów, na które Janka śmiertelnie zbladła.

— Chciałem się z panią po dobremu ułożyć — przemówił Mehlhose groźnie — ale kiedy widzę, że tak nie idzie, przeto zmuszę panią, abyś mi zeznała całą prawdę.

Janka zmieszała się chwilę ale wnet odzyskała zwykłą przytomność umysłu. Podniosła dumnie głowę i odpowiedziała:

— A co będzie, jeśli się wykaże, że nie jestem tą, za którą mnie pan masz? Jeśli panu dowiodę, że należę do pierwszego towarzystwa w stolicy?

Na to uśmiechnął się agent z szyderstwem i odpowiedział:

— Moja duszko, dama z pierwszego towarzystwa nie spaceruje nocą sama po ulicach!

— Są wypadki, w których i to się zdarza — odparła Janka, która nie dawała się tak prędko zbić z tropu. — Gdyby to chodziło o moją własną tajemnicę, zwierzyłabym się z niej panu natychmiast, ale że była to ważna sprawą jednej z moich przyjaciółek i że jej święcie obiecałam dyskrecję, więc nie mogę łamać słowa.

— Bardzo to pięknie ze strony pani — rzekł agent poważnie, ale, znając kobiety i wiedząc, że one tylko własne tajemnice umieją zatrzymać w dyskrecji, był pewien, że dyskrecja Janki tyczy się także i jej osoby. Postanowił więc nie odstąpić jej, dopóki się czegoś nie dowie.

Tymczasem i Janka ułożyła sobie plan dalszego postępowania.

Jeżeli mi tak niedowierza — myślała — to mi już nic nie pomoże, i nie ma innego dla mnie ratunku, jak uciec od niego w najzręczniejszy sposób.

W tej myśli oparła się silnie na ramieniu swego towarzysza, a z ust jej wychodził od czasu do czasu bolesny jęk.

— Co się pani stało? — zapytał agent z udanym współczuciem.

— Cierpię na kurcze sercowe — odrzekła Janka słabym głosem — a dostałam w tej chwili właśnie ataku.

Agent spojrzał wokoło. Znajdował się z towarzyszką swą w wąskiej uliczce, na której nie było dorożki. Było to już dawno po północy. Panowała ogólna ciemność; tylko z jednego domu padało światło na ulicę i dochodził wesoły śmiech, śpiew i akompaniament fortepianu.

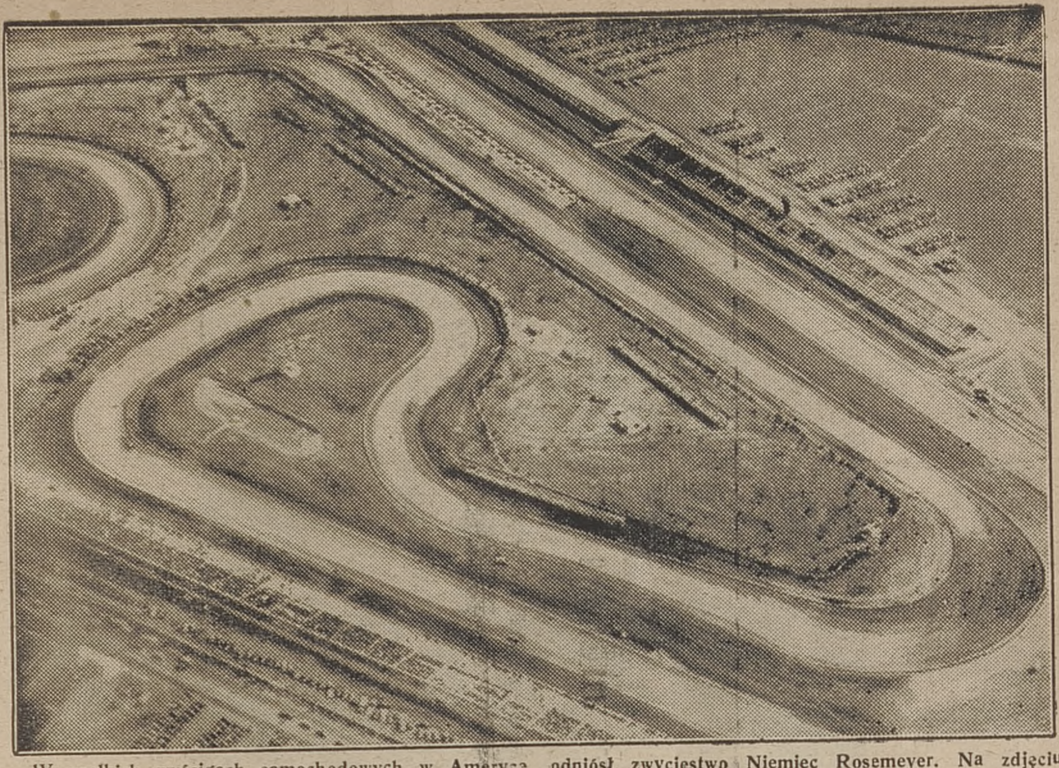
Przed tym domem stanęła Janka i jęknęła:

— Nie mogę teraz ani o krok dalej postąpić. Chyba nie umrę tu na ulicy?

— To wejdziemy tu — rzekł Mehlhose patrząc na nią nieufnym wzrokiem, gdyż cały ten atak uważał za dobrze odegraną komedię.

Myślał on, że Janka zna dobrze ten dom i że mrugnie tam swoim znajomym, aby z nim wszczęli jakąś kłótnię, podczas której łatwo jej się będzie wymknąć. Postanowił więc pokrzyżować jej plany.

Otworzył drzwi lokalu, i poprosił towarzyszkę swą uprzejmie, aby weszła pierwsza. Ledwie jednak Janka weszła do sali, padła zemdlona w objęcia jakiejś damy, która właśnie wychodziła.



W wielkich wyścigach samochodowych w Ameryce odniósł zwycięstwo Niemiec Rosemeyer. Na zdjęciu wspaniały tor samochodowy, na którym odbyły się konkurencje.

Był to jednak dziwny sposób omdlenia, bo Janka spoczywając w objęciach tej damy, szepnęła jej do ucha:

— Udawaj, że mnie nie znasz i zaprowadź mnie do sąsiedniego pokoju!

Tamta zrozumiała ją mimo cichego szeptu i zawołała:

— Biedactwo zemdlało; trzeba jej rozpiąć suknie! Zanieś ją do drugiego pokoju, Wilhelmie!

— A czyż ona nie może sama pójść? — zapytał młody człowiek, do którego owa dama przemówiła — nie uniosę takiego ciężaru.

— Jak głupio gadasz! — beształa go dama — jak ktoś zemdleje, to wtedy nie ma władzy w członkach.

— No, to muszę w to uwierzyć — mruknął Wilhelm i wziął Jankę na ręce, aby ją zanieść do drugiego pokoju.

— Stój pan! — rozkazał agent, zastępując mu drogę, ta dama tu zostanie!

— To nie uchodzi — rzekła dama, w której objęciach Janka spoczywała — nie mogę tej biedaczce przecież porozpinać sukni w obecności tych wszystkich panów. Jeśli pan niespokojny, to może pan także wejść do drugiego pokoju. Czy to może małżonka?

— Nie! — odparł Mehlhose gburowato.

— No, jak myślicie, że ja tu z tym ciężarem na rękach będę stał i czekał, dopóki wy się nie wykłócicie, toście w wielkim błędzie! — zawołał Wilhelm i przeszedł koło tajnego agenta, odsuwając go łokciem z drogi i obrzucił nieżyczliwym spojrzeniem. Mehlhose wszedł za nim do sąsiedniego pokoju i zobaczył, że są tam tylko jedne drzwi.

— Ach — mruknął do siebie — stanę sobie przed tym wyjściem i będę pewny, że mi nie umknie.

Uspokojony opuścił pokój i widział jeszcze, jak Wilhelm złożył Jankę na kanapę i jak się owa nieznajoma koło niej krzątała.

Gdy Mehlhose zamykał drzwi, widział Wilhelm wchodzącego do wielkiej sali, gdzie śpiewaczka śpiewała właśnie bardzo słony kuplet.

Posypały się huczne oklaski i inne dowody zachwytu. Jeden z panów podawał jej swoją szklankę z grogiem; drugi szklankę piwa, trzeci poklepał ją po obnażonym ramieniu i zawołał:

— Jesteś zuchem, Loro! Może chcesz jaką pieczeń, to ci zafunduję!

W odwet za uznanie zaśpiewała Lora dla swych wielbicieli jeszcze bardziej słony kuplet i otrzymała za to jeszcze głośniejsze oklaski, tak, że aż szklanki na stołach dzwoniły.

Mimo tego ogłuszającego gwaru zdawało się agentowi, że słyszy, jakby cichy szmer, wydostający się z drugiego pokoju. Przyłożył ucho do dziurki od klucza, ale nic nie słyszał. Podejrzenie jego wzrosło.

Tak długo nie może trwać omdlenie — pomyślał — musiała ona już dawno odzyskać przytomność i nie wiem, co ta cisza tam znaczy, bo dwie kobiety nie umieją nigdy siedzieć obok siebie milcząco.

Popatrzył raz jeszcze przez dziurkę od klucza a zobaczywszy, że tam ciemno, zaklął z wściekłością i otworzył drzwi do pokoju, w którym panowały egipskie ciemności.

Zapałka, którą Mehlhose potarł, oświeciła pusty pokój. Nie było ani śladu Janki i jej towarzyszki.

— Wyleciały ptaszki! — krzyknął, trzęsąc się z gniewu.

Nie tracąc jednak czasu na próżno, lustrował bacznie ściany w nadziei, że znajdzie jakieś ukryte drzwiczki. Odsunął też kanapę, ale nie znalazł za nią tego, co szukał. Potem otworzył dużą szafę od sukien, ale i w niej znalazł tylko bezwartościowe szmaty, które odrzucił ze złością na bok. Wreszcie odsunął jeszcze szafę i zobaczył za nią w ścianie dość duży otwór, przez który z łatwością mógł się przecisnąć dorosły człowiek.

Teraz zagadka była rozwiązana. Przez ten otwór wyszły obie kobiety.



Kardynał Pacelli, który wziął udział w Kongresie Eucharystycznym w Lisieux, zwiedził także pawilon watykański na wystawie w Paryżu.

— Panie, mam z panem do pomówienia — przerwał mu agent.

— Bardzo mi będzie przyjemnie, ale nie teraz, bo muszę zamykać lokal, inaczej zapłacę 20 złotych kary — odparł gospodarz.

— Zapłacę je za pana — wtrącił szybko agent, wyciągając portfel.

W tej chwili jedna z dam pociągnęła gospodarza za rękaw i szepnęła mu coś.

— Niech pan da spokój — rzekł gospodarz — ja także jestem człowiekiem, który pragnie odpoczynku. Pański interes może poczekać do jutra.

To rzekłszy, zaczął gasić światła, a całe towarzystwo cisnąc się do drzwi, wypchało ze sobą także i Sperlinga.

Agent szybko znalazł się na ulicy i widział, jak mu zamykają drzwi przed nosem.

— Przeklęty pech — mruczał — zaczynam być taki niezgrabny, że zamiast zarobku, będę miał tylko szyderstwa.

Wyrzucał sobie, że przez własną głupotę płaszek mu się wymknął i że on, właściwie za nic, otrzymuje pieniądze od Herbertów. — Postanowił więc sobie nazajutrz wrócić do domu.

Ale wszystkie wyrzuty, wszystkie nagany, których sobie nie szczędził, nie mogły naprawić tego, co się stało. Janka mu uciekła i kto wie, czy wróci!...

ROZDZIAŁ CLVIII.

Ucieczka Ilony

Mehlhose pienił się z wściekłości i klął jak opętany.

— Co się takiego stało? — zapytał zdziwiony Wilhelm.

— Co się takiego stało? — huknął agent wściekle — uciekła mi ta przeklęta baba.

— I to jest to całe nieszczęście? — roześmiał się Wilhelm pogardliwie — nie opłaca się doprawdy robić piekła o taką bagatelę. Ma pan w odwet masę zuchowatych dziewcząt do wyboru, które szczęśliwe będą w towarzystwie pana.

Nie chodzi mi u licha o towarzystwo tych namalowanych kokotek! — wrzeszczał Mehlhose ogromnie wzburzony.

— A czego pan szuka, jeśli nie zabawy? — zapytał Wilhelm zdziwiony.

Mehlhose nie odpowiedział na to pytanie, bo gdyby się był zdradził z tym, że jest tajnym agentem, nie byłby się ani słowa prawdy dowiedział od całego zgromadzenia.

— Ta niewiasta wyznaje się tutaj bardzo wybornie — mówił dalej gniewnie — bo zna tu każdy kącik. Musiała tu być częstym gościem. Kto tu jest gospodarzem tej bandy?

— Nie jesteśmy żadną bandą — ozwały się głosy z tłumu — szukaj pan sobie bandy gdzieindziej. Jak śmiesz nas pan tak nazywać?

— Chcę wiedzieć, jak się nazywa owa młoda niewiasta, z którą tu przyszedłem — mówił agent rozdrażniony.

— Zwariował, czy co? — zawołał na to Willy z komicznym oburzeniem — to dobre, my mamy wiedzieć, co to za jedna niewiasta, z którą on się zabawia?

— Nie udawaj pan, że jej nie znasz — złościł się agent.

— Niech się pan tak nie rzuca — odpowiedział mu Wilhelm — bo wylecisz pan za drzwi.

Mehlhose widział, że w ten sposób do niczego nie dojdzie, więc zmienił ton.

— Wczujcie się w moje położenie — rzekł — byłem u jubilera, gdzie kupiłem dla mojej żony na jutrzejsze urodziny pierścionek. Ta niewiasta kupowała tam bransoletkę i zaczęła ze mną rozmawiać, tak, że z nią razem wyszedłem ze sklepu.

— Te, te, te, — widzicie gościa z prowincji — przerwał mu szyderczo Willy — już wiemy, co się dalej stało.

— Wieczór spędziłeś pan w jej towarzystwie i teraz pierścionka nie ma.

— No, widzi pan — rzekł agent — jakże teraz wrócę do domu bez niczego?

Nie zdołał jednak obudzić współczucia w słuchaczach.

Wszyscy śmiali się z niego.

— Dziesięć złotych dałbym za jej nazwisko i adres — próbował dalej.

— Ja jestem biedna — szepnęła jedna dama drugiej — bom się doszczętnie spaliła — ale wolałabym zastawić ostatnią sukienkę, niż zdradzić Jankę temu durniowi.

— Ej — odpowiedziała druga — a ja ci powiem, że on ma całkiem inne powody, że szuka Jankę. To nie prawda z tym pierścionkiem. Ona nie ma takich lepkich palców, żeby jej się głupi pierścionek przyczepił. — Tu z pewnością chodzi o coś innego.

W tej chwili wszedł do izby jakiś jegomość niskiego wzrostu o pucołowatej twarzy i czerwonym nosie i grubym głosem zapowiedział, żeby się goście wynosili, bo on musi zamknąć lokal.

— Czy jesteś pan gospodarzem? — zapytał go Mehlhose.

— Do usług — odpowiedział grubas wcale nie uprzejmie i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej tym samym tonem:

— Dzieci do domu. Liczę do 10, a potem zamykam światło. Raz, dwa...

Zacna trójka cygańska — Wolf, Ilona i Benari — pod wieczór wróciła do domu.

Rachela nie karciła Ilony za to, że tak długo się nie pokazywała w obozie, widocznie chciała ją sobie pozyskać.

Wszyscy, z wyjątkiem Ignacego, zasiedli do smacznej wieczerzy.

Po skończonej kolacji, Rachela wysłała Benariego do wsi.

— Idź do Grindelwalda — rzekła — i powiedz mu, żeby nam dał parobka, który nas zawiezie do miasta. Powiedz, że za to nic mu z bydła nie zdechnie, a zboża z pola zbierze wiele.

Benari usłuchał i poszedł.

Cyganka taki miała szacunek w okolicy, że chłop, nie namyślając się, kazał zaprzęgać i za 10 minut wóz stał gotowy do odjazdu przed obozem cygańskim.

Tymczasem Rachela pakowała swoje rzeczy i obserwowała z zadowoleniem, że Ilona, która najchętniej innym kazała robić za siebie, teraz sama zbierała swoje rzeczy.

Bez namysłu zabrała stara także worek z prowiantem przeznaczonym do Felseg.

— Ależ ten worek z żywnością jest Alojzego — broniła Ilona.

— Kto mu to tam będzie nosił! — odburknęła stara. — Mamy to tu zostawić, to wolimy zabrać. Niech sobie za to weźmie nasze meble.

Było to oczywiście szyderstwo, gdyż te meble nadawały się w najlepszym razie do wrzucenia w piec, takie były zniszczone.

Ilona jednak nie sprzeciwiała się, aby nie obudzić podejrzenia.

Ciąg dalszy na str. 597.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

DOCHOWUJĘ WIERNIE TAJEMNICY

„Piciątko". Pięknie to z Pana strony, że potrafił Pan z młodzieńczą ufnością wznieść znowu głowę do góry i stanowczo postanowić, iż będziesz dalej twardo i konsekwentnie do celu dążyć. Podoba mi się niesłychanie u ludzi ten rys charakteru. Uważam, że godny jest uznania i szacunku.

Naturalnie, że rozumiem Pana i nie dziwię się wcale, że mnie, kobietę wybrał Pan na powiernicę. Nie dziwię się, gdyż nie pierwszy z mężczyzn szukasz Pan zrozumienia właśnie u kobiety. Zresztą znane jest wszystkim, że w wielu wypadkach nikt tak nie rozumie mężczyzny, jak właśnie kobieta, najbardziej nawet obca i obojętna, ale podchodząca do zjawisk życia i do ludzi z dobrocią i sercem.

Dużo wytłumaczy dobroć, a jeszcze więcej usprawiedliwi serce czujące i tkliwe.

Niech Pan odrzuci, proszę, myśl, że może mnie Pan zmęczyć rozmową listowną. Styl Pana jest tak gładki, zdania tak płynne i treściwe, że czytałabym z największą przyjemnością jedną po drugiej białą kartę Jego listu.

Jeżeli mogę mieć jakąś pretensję, to chyba tą, że mógłby Pan więcej tych kart zapisać. Czy to nie pochlebne dla Pana? Może zniweluje choć trochę nierówności i ostre załamania przeżywanych wstrząsów moralnych, które tak dzielnie Pan zniósł, nie ulegając im zupełnie.

Tego o co Pan prosił uczynić nie mogę ze względu na to, że dochowuję wiernie tajemnicy. Ale wolno mi zaapelować do mieszkanek i mieszkańców Kruszwicy, aby zechcieli korespondować z Panem.

Słyszeliście, Kruszwiczanie?!

Czy mieszka w Kruszwicy p. M. Giżewska i — jeżeli tak — czy nie zdecyduje się napisać do „Piciątka" na adres redakcji „Moich Powieści"??

Ponadto „Piciątko" gorąco dziękuje „Dziewczynie z Południa" za pozdrowienie i prosi o łaskawą odpowiedź na list.

A panie: „Hanusieńkę I", „Rose - Marie", i „Helutkę" zapytuję, czy nie zechciałyby z nim nawiązać korespondencji. Będzie im wdzięczny, jak mówi, bez granic.

Dla całej „Rodzinki" moc serdecznych pozdrowień!

RYCHŁO JUŻ...

„Ciemnooka Irka". Dziękuję Ci, Dziecino Droga, serdecznie za pamięć i wzajemnie ślę moc pozdrowień.

Nie radzę Ci zmieniać pseudonimu, bo obecny jest przecież miły i napewno nie on jest przyczyną, że „Krainiacy" nie zainteresowali się czynnie Tobą. Mnie się zdaje, że raczej brak czasu w miesiącach letnich, które się na ogół wykorzystuje na wycieczki, opalanie, intensywniejsze sporty i w ogóle na odpoczywanie — jest przyczyną słabszego zainteresowania się „Krainiaków", zarówno nowymi, jak i nawet starszymi, lecz mniej zaprzyjaźnionymi członkami „Rodzinki". Ale rychło już, proszę mi wierzyć, zacznie się wzajemne bombardowanie listami, niosącymi z najróżniejszych miejscowości Polski i z najdalszych jej krańców moc opisów przeżytych wrażeń i przygód.

Wówczas i do Pani, sądzę, nadejdzie masa listów, pełnych radości i werwy, pełnych słońca wchłanianego intensywnie przez większość naszej „Rodzinki" przez całe długie miesiące letnie.

A teraz jeszcze umieszczam Pani słowa, skierowane do „Krainiaków":

„Samotny Geniu"! — czy dotrzymasz słowa i odpowiesz na mój list?

Pozdrowienia całej „Rodzince", a osobne „Zbłąkanej Gwieździe", „Białemu Zwidowi", „Sierocej Doli", „Czarującej Ninie", „Cyganowi" i „Wilkowi Morskiemu".

Oraz miłe uśmiechy dla Sympatyków z Warszawy, Ostrowa, Krotoszyna, Poznania i Gdyni.

CIESZY MNIE BARDZO

„Irka — Bajka"! Serdecznie dziękuję za pozdrowienia i uściski, które z w zupełności odwzajemniam.

List przesłałam i myślę, że zaszedł na czas. jak to dobrze, że masz możność wyjazdu i że z pewnością już wyjechałaś. Cieszy mnie to tymbardziej, że umiesz ocenić piękno spotykanych w drodze zakątków jako i samego morza.

Komunikaty Pani zamieszczam, życząc wpierw jeszcze dużo, dużo pięknych wrażeń!

„Halo! „Wesoła Odo" — czemu tak uporczywie milczysz? Czyżbyś nie odebrała listu? Miłę Cię pozdrawiam.

„Młody Orle", może spotkamy się nad Bałtykiem? Napisz na dzień „Św. Morza" kartę na poste — restante Gdynia, postaram się ją odebrać i zastosować do jej treści. Jeżeli będziesz w tym roku i w górach, to może też uda się nam spotkać.

Szczere i miłe pozdrowienia „Zadumanej Bajce", „Rumunce", „Te — Em'owi", „Romantycznemu Śpiewakowi" i p. Adamowi Czekalskiemu, z którym pragnęłabym również podyskutować.



Zdjęcie przedstawia pana Czekalskiego Adama, którego utwory nieraz już były drukowane w „Moich Powieściach" i zjednały sobie, zarówno u Czytelników, jak i członków „Krainy" duże uznanie.

Obecnie znowu drukujemy jego nowelkę p. tyt. „Zemsta".

A oto posłuchajmy, co o swej twórczości mówi sam autor:

„Może to byłoby charakterystycznym dla mej osoby, że piszę rocznie do 20 powieści, które bywają drukowane na łamach najpoważniejszych wydawnictw periodycznych polskich w kraju i na emigracji. Pisać zacząłem w 22 roku życia, a więc przed 13 laty. Obecnie liczę sobie wiosen 35. Za sobą mam już kilkadziesiąt pozycyj powieściowych i kilkaset utworów drobnych. W 30 roku zdobyłem nagrodę „Ruchu Charytatywnego" w Poznaniu za utwór „Człowiek z tłumu", a w roku 1932 nagrodę na konkursie emigracyjnym we Francji za powieść „Po złote runo".

Jak więc Czytelnicy widzą, pracuję wydatnie — ożywia mnie zresztą fakt przychylności i uznania, którym darzą mnie nie tylko różni nieznani czytelnicy, ale przede wszystkim sympatycy i odbiorcy „Moich Powieści".

Im też zasyłam moje najserdeczniejsze pozdrowienia."

POZDROWIENIA Z WYCIECZKI

„Zbijobruk Poznański" przesyła całej „Rodzince" serdczne słowa i radosne okrzyki zachwytu nad zwiedzanymi przez siebie „Kraikami".

Proszę sobie wyobrazić, że zwiedziła już Tatry, Pieniny i jedzie dalej Podkarpaciem, aby zwiedzić Borysław, Stanisławów, cały Jar podolski i dojechać do Lwowa, a wreszcie wrócić do Poznania.

My ze swej strony zadowoleni jesteśmy — prawda „Rodzinko"? — że zdobył się nasz „Zbijobruk" na zbijanie bruków po ogromnej połaci naszej pięknej Ojczyzny i życzymy zdobycia jak najwięcej wrażeń!

POZDROWIENIA SPECJALNE

„Janka z Pelpina". Dziękuję Pani za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam.

Ponadto w imieniu Pani wyrażam podziękowanie tym wszystkim, którzy przesłali Jej pozdrowienia i pozdrawiam równie serdecznie, a specjalnie dwie Jej koleżanki Irkę i Zochnę. Pan Bronek ma pozdrowienia od Zosi i Irki.

„Brunetowi z Pałuk" i „Romantycznemu Śpiewakowi" od trójki śliczne „pa"!

I wszystkim tym, którzy wyjechali na wakacje i mile spędzają je w szerokim świecie — śle miła „Janka" dużo pozdrowień.

APEL ABONENTKI „MOJEJ PRZYJACIÓŁKI

Pani „Elżutka spod Kępna", stała abonentka „Mojej Przyjaciółki" pragnie korespondować z Czytelnikami „Moich Powieści" lub „Krainiakami" ze Śląska, Pszowa lub okolicy.

Może ktoś zamieszkujący te okolice zechce napisać do niej? Czuję, że Pani ta jest bardzo miła i że korespondencja z nią może dać dużo zadowolenia.

UCIESZY SIĘ PANI ZAPEWNE...

„Zbłąkana Gwiazda". Ucieszy się Pani zapewne, gdy jej powiem, że autor pięknych wierszyków, które tak często zdobią okładkę „Moich Powieści" — p. Józef Baranowski dziękuje Jej za słowa uznania i pyta, czy „nieznana przyjaciółka" nie zdecydowałaby się więcej napisać o sobie?

Pozdrawiam Panią serdecznie i czekam na list, zwiastujący miłą nowinę, że nie jest już Pani sama i że poznała już kogoś, co ją rozumie.

POZDROWIENIA ZE ZLOTU SOKOŁÓW...

„Wenus". Serdecznie dziękuję Pani, zarówno w imieniu swoim jak i całej „Rodzinki", za przesłane nam pozdrowienia ze „Zlotu Sokołów". Wzajemnie pozdrawiam jak najserdeczniej i proszę niezapominać i nadal, że żyjemy i czekamy na słowa od Pani.

MASZ SERCE!

„Eros". Miałam dziś miłą chwilę, dzięki Panu, Erosie Miły! W liście przedostatnim poruszyłeś kilka spraw, z których jedna sprawiła mi żywą radość, wskazując wyraźnie na to że masz serce i umiesz z uczuciem patrzeć na sprawy ludzkiego życia, a zwłaszcza na bóle i niedole przejawiające się tak często w życiu.

Wiesz o czyMm myślę — prawda? Poruszyła mnie ogromnie sprawa tej opuszczonej istoty i gdybym mogła, gdyby to choć trochę leżało w restrykcjach mej władzy, z miejsca postarałabym się jej o zajęcie, lecz niestety, nie mogę nawet myśleć o tym, że mogłabym jej pomóc. Słusznie Pan zauważyłeś, że o pracę zawsze jeszcze jest trudno.

Jednakże proszę, aby mi Pan znowu doniósł, czy już znalazła pracę i jak żyje, po tym, bądź co bądź, wstrząsie moralnym. Bo jak się weźmie pod uwagę przejęcie się widzów postronnych tą sprawę, to jakże wielkim ciosem musiało to być dla samej zainteresowanej!....

Poza tym, ciekawa jestem niesłychanie, czy wziął Pan udział w zawodach kajakowych w

czerwcu i czy wysforował się Pan na jedno z czołowych miejsc?

Sądzę, że tak ,gdyż mam takie niejasne wrażenie, że znajduje się Pan, Erosie, w dobrej formie treningowej, a resztę mogła wszak dokonać odpowiednio wytężona wola.

A jakże tam z pracą zawodową, czy „odstawił" już Pan co mozolniejszą pracę i czy rozporządzasz już bardziej czasem niż w ostatnie miesiące?

Zdaje się, że tak, skoro zalega już w mej szufladzie przysłany przez Ciebie materiał do „Chwili zastanowienia" i nowy Twój list, na który odpowiem nieco później! Muszę sprawiedliwie przestrzegać kolejności wpływającej korespondencji, aby nikt z „Krainiaków" nie miał do mnie słusznych pretensyj, że np. wyróżniam jakiekolwiek listy na czyjąś niekorzyść.

Rozumiesz to, prawda? Zresztą, zauważyłam, że niejedno ze spraw sedakcyjnych tłumaczysz sobie, jakkolwiek nie wszystko słusznie.

Za życzenia uprzejmie dziękuję i z przyjemnością mogę Pana zapewnić, że rzeczywiście starałam się nabrać jak najwięcej pogody i wchłonąć w siebie nieskończoną ilość słońca, aby móc nimi obdarzać — na prawie wzajemności i wymiany doznanego dobra — moje Sympatyczki i Sympatyków z „Krainy".

Na zakończenie ściskam Panu prawicę i umieszczam Jego post scriptum dla Członków „Rodzinki":

„Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom „Krainki", ślę serdecznie pozdrowienia.

Jeżeli wolno mi jeszcze zwrócić się o dowody pamięci, proszę o liścik na ręce p. Zofii. Mimo, że dużo czasu spędzam w kajaku na wodzie — znajdę chwilkę czasu na odpowiedź.

Zatem serdeczne, wesołe i miłe „pa!".

JESZCZE NIE ZGADŁAŚ!

„Barciu". Och, Ty Mała Dziewczynko! Nie masz rzeczywiście zmysłu detektywistycznego — podane w Twym liście nazwisko, nie jest nazwiskiem moim. Chyba Cię to nie smuci?

Jeżeli chodzi o: „Ten bezmierny zasób cierpliwości w wysłuchiwaniu wszystkich uciech, życzeń i utrapień ludzkich, jako też rady skuteczne i rozdzielane plasterki balsamu na każdą bolączkę — jeżeli chodzi o to wszystko, myślę, że przeceniasz trochę, Miła Barciu, moje zasługi.

Wprawdzie najgorętszym moim życzeniem jest to, abym mogła być tym, co wymieniasz powyżej, ale często nie udaje mi się to, bo czasem są bóle, na które nie umiem podać lekarstwa i są sytuacje, w których radzić mi trudno.

Czasem najbardziej wypróbowanym lekarstwem jest zalecanie cierpliwości i przeczekania czasu, jako że czas wszystko łagodzi, a cierpliwość kruszy najtwardsze gromy.

Zgadzasz się, sądzę, ze mną, Droga „Barciu".

Pytasz, co się stało z „Jadźką z Kujaw" — — otóż wyszła za mąż i zajęła się ogromnie domem — nie ma już tyle czasu, jak dawniej. Natomiast „Biała Uajali" jest nadal kochaną pieszczochą „Rodzinki" i jak zwykle obdarza nas miłymi wierszykami.

Godzę się chętnie z Tobą, że życie brane z wesołej strony płynie równiej i bardziej wartką falą. Życie brane gwałtownie i tragicznie zbaławania toń rzeki i burzy ją do najdalszych głębin.

Poniżej umieszczam komunikaty, wpierw jeszcze całując Cię serdecznie.

„Dumko"! przesyłam moc serdecznych pozdrowień z poznańskiego i donoszę, że życzenia spełniłam. Czekam na odpowiedź.

„Dzinkę", „Blankę" i „Duśkę" milusio pozdrawiam. Czy która z wymienionych siostrzyczek napisze do mnie?

„Wiejski Chłopczyku", za pozdrowienie dziękuję wzamian przesyłam promienny uśmiech.

Również przesyłam pozdrowienia dla „Te - Em'a" i „Wiarusa — Murzynka". Może ostatni napisze do mnie parę słów?

CHĘTNIE...

„Szatynka". Chętnie przyjmuję Panią do „Rodzinki". Bardzo było mi miło dowiedzieć się, że należy Pani od bardzo dawna do gorliwych prenumeratorek „Moich Powieści". A to, że „Krainka" jest jak Pani określiła — przemiłą i ogromnie sercową instytucją, w której można odzyskać radość życia i nabrać w siebie masę ciepła — to także sprawiło mi radość i... uważam, że ma zupełnie umotywowane podstawy. Prawda Drodzy Moi „Krainiacy"?

Piszesz mi, Miła „Szatynko", że ogromnie zależy Ci na tym, abyśmy Cię z miejsca przyjęli do swego grona i potraktowali jak dawną znajomą — owszem, jeżeli będziesz tak miłą jak wszyscy członkowie „Rodzinki", będzie Ci u nas dobrze, a nam z Tobą również.

A teraz oddaję Ci głos:

„Halo! jestem ogromną entuzjastką „Krainy" i pragnę zapoznać się listownie z jej Członkami. Ale pozwólcie, że się Wam przedstawię bliżej:

Jestem muzykalna, wesoła, niebiedna. Czuję się nieco osamotnioną na prowincji i dlatego chętnie chciałabym nawiązać korespondencję z panem tych samych walorów.

Uważam, że muzyka jest ważnym czynnikiem w naszym szarym życiu, jak niemniej ważnym jest szczera i poważna wymiana myśli.

Pozdrawiam wszystkich serdecznie i czekam na listy, na które szybko odpowiem.

Powracam jeszcze raz do rozmowy z Panią. Chodzi mi mianowicie o to, abyś zechciała przysłać mi dokładny twój adres, gdyż nie mogłabym dosłać Pani listów od „Krainiaków", o które przecież Pani bardzo chodzi. Więc proszę pamiętać i przyjąć moje serdeczne pozdrowienia.

NIE MA JUŻ CIEBIE...

Swoje wspomnienia — Danucie Wyrybkowskiej na dzień imienin (26 lipca) poświęca.....

Drogi, daleki... szepcą mi o Tobie
Stawy; drzewa, światła i żołędzie —
I tak mi smutno, że dziś w tej rozmowie
Nie ma już Ciebie, że tak... zawsze będzie.

Słupy telefonów chylą się ku ziemi
W bezbrzeżnym smutku i cichutko płaczą
A światełka mówią, żeś pogardził niemi,
Bo trzeba było wieść dolę tułaczą...!

Choć tak poszedłeś daleko... na zawsze,
Rzucając światełka, drzewa i żołędzie,
Poszedłeś po uśmiech życia najłaskawszy,
Niech więc promienną — Twoja przyszłość będzie.

„Marta".



Oto „Córka Wichru" — nasza miła i ogólnie lubiana siostrzyczka z „Krainki".

Teczka Wujka Janusza

TYLKO DLA CIEBIE...

Cichą, wieczorną, szarą godziną
Siedzę samotna i marzę...
Tak jakoś słodko chwile mi płyną
I wstają szczęścia miraże...

A czasem sobie cichutko westchnę
I łzą radości zapłaczę —
To wtedy, drogi, gdy w pamiętniku
Twe dobre słowa zobaczę.

I nieraz smutne wiersze znów piszę,
Gdy gwiazdy błyszczą na niebie —
W tej błogiej, słodkiej, upojnej ciszy
Piszę — lecz tylko dla ciebie.

Myśli me biegną za lasy, wody —
Hen tam... w zakątek mój znany....
Dziś znowu składam wiersze dla ciebie,
Byś wierzył, żeś mój ,kochany.

„Biała Uajali".

ROZUMIEM...

„Biała Uajali". Z ostatniego listu Pani, Droga „Uajali" przeziera słonko, chwilami radosne i silne, chwilami przybladłe i jakby zamglone. To zdobywasz się na uśmiech pogodny, to znowu drżą w nim łzy i drga ogromna tęsknota.

Rozumiem Panią i nie dziwię się, że w jednym liście przejawia się masa nastrojów, którym ulegasz przez dzień cały. Nie dziwię się tymbardziej, iż wiem, że masz duszę wrażliwszą i czułą na każdy najlżejszy dźwięk płynący z zewnątrz.

Rozumiem też, że czasami pragniesz, jak mała dziewczynka pobiegać po leśnych wykrotach, przytulić głowę do chłodnych leśnych mchów i wsłuchiwać się nie tylko w głosy lasu, ale w głosy wspomnień tyle Ci miłych i drogich.

Rozumiem i to, że czasem bez większej przyczyny rozpromienia się błękitem horyzont Twych myśli, słonko złotym grotem radości dziecięcej wpada do duszy i każe śmiać się beztrosko, każe jasno patrzeć na świat, ludzi i życie. I każe czekać na coś, co choć dalekie i czasem aż mgliste — przecież Cię spotka, nie minie! Zaś trochę cierpliwości w czekaniu należy wykazać, Droga Pani, choćby dlatego, że w życiu zazwyczaj to jest najcenniejsze i najmilsze, co najwięcej trudu i zabiegów wymaga. A nadzieja?!...

Sama Pani mówisz, że nadzieja to: „cudne różowe kwiaty o subtelnych i pełnych czarownej woni płatkach, że nadzieja rozjaśnia szarzyznę, wybiela czarność myśli i skraca czas oddalenia od spełnienia wyczekiwanego" — dlaczego więc buntujesz się przeciw niej tak często?

Już nie będziesz, prawda „Biała Uajalo"? Przecież Pani, gdy zechce, silnie zechce — dokaże tego niewątpliwie.

Życzę Pani jak najszybszego spełnienia pragnień i pozdrawiam serdecznie oraz zamieszczam komunikaty:

„Halo! „Taki Jeden" dlaczego nie skorzystał Pan z adresu — co zraziło?

„Dumko", jesteś mocno kochaną, cieszę się z nawiązania nici przyjaźni.

„Samotna Maruto", dziękuję! Słowa takie są nagrodą za wysiłek w komponowaniu. Może Pani napisze do mnie? Całuję!

„Sieniutko" więc R. P. będzie aktualną? Och, jak się cieszę!

„Wirrycie", ogarnia mnie fala ciekawości, jak to się zakończy — nie wiesz?

P. J. Baranowski — cudne są Pana wierszyki na okładkach „Moich Powieści". Czytam je z wielkim uznaniem.

Posyłam Panu, jak również p. Płóciennikowi, serdeczny uścisk dłoni.

„Samotny Romie", co słychać?

B. F. P. — dziękuję za zwrot. Proszę o przebaczenie, nie mogłam inaczej!

ZA SŁABE...

„Helena J". Wierszyki Pani znalazły się w towarzystwie szeregu innych w mojej teczce. Po przejrzeniu ich komunikuję Pani, że niestety do druku są za słabe. Ponadto nieaktualne, gdyż opiewają wiosnę, która wszak już przeszła. Nie będę ich przechowywał do przyszłego roku z przyczyny wyłuszczonej powyżej.

Jeżeli Pani koniecznie chce tworzyć, to musisz wiele jeszcze pracować nad sobą. Najlepiej czytać dużo poezji i to, najlepiej autorów o ustalonej już w świecie sławie.

Pozdrawiam Panią serdecznie.

Raj kobiet

Amelia Earhart

Amelia Earhart popularna amerykańska lotniczka, z powodu uderzającego podobieństwa do Lindbergha, zwana Miss Lindy, jest żoną znanego amerykańskiego wydawcy Palmera Putnama. Daily Telegraph ogłasza obecnie wywiad swego nowojorskiego korespondenta z Putnamem, którego biura mieszczą się na 15 piętrze jednego z nowojorskich drapaczy chmur. Korespondent zdołał uzyskać kilka ciekawych informacyj o starannych przygotowaniach, podjętego przez lotniczkę lotu dokoła świata. Wywiad przeprowadzony w kilka dni po rozpoczęciu lotu, nie zawiera żadnej wzmianki o tragicznym niepokoju o los odważnej lotniczki. która zaginęła gdzieś na bezmiarach oceanu. Jej mąż, wyrażał się z pełnym optymizmem o powodzeniu śmiałej imprezy. Samolot Amelii Earhart jest jednopłatowcem, w którym mogłoby znaleźć miejsce dziesięciu podróżnych. Przygotowując się do lotu dokoła świata, lotniczka zabrała ze sobą tak olbrzymie ilości benzyny, że w samolocie starczyło zaledwie miejsca dla niej i jej towarzysza kapitana lotnictwa Freda Noonan. Noanan musiał zakwaterować się w wąskiej kabince, urządzonej za zapasowymi tankami benzyny. Samolot wyposażony jest w przeszło 100 różnych instrumentów, najważniejszym jednak dla lotniczki jest pomysłowo skonstruowany budzik, połączony z każdym zapasowym tankiem benzynowym. Budzik ten dzwonieniem daje znak, że czas na który włączono tank zapasowy upłynął. Amelia Earhart chciała sobie w ten sposób zapewnić ścisłą kontrolę nad zużyciem benzyny.

Moda męska

Gdyby niejeden pan wiedział, co o nim myślą i jak go sądzą kobiety, widząc jego zaniedbaną powierzchowność, źle leżące ubranie, nieodprasowane spodnie, niegustownie dobrany krawat, koszulę itd., wtedy z pewnością więcej uwagi poświęciłby ważnym sprawom swego ubioru. Wielu jest mężczyzn, którzy odzieżą swą i ubieraniem siebie bardzo mało się zajmują. Kupują to, co jest najtańsze — ubrania już gotowe, a krawat, koszula itp., to dla nich rzecz już całkiem obojętna.

Tymczasem trzeba przecież wiedzieć, że od powierzchowności właśnie, od dobrze skrojonego, elegancko uszytego ubrania, zależeć może często całe nasze powodzenie, cała nasza przyszłość. Jak cię widzą, tak cię piszą — mówi przysłowie, a piękny ubiór jest po prostu dobrym przyjacielem człowieka.

Rzecz pewna, że kobiety o swoją powierzchowność daleko więcej dbają, niż mężczyźni. Jednakże życzeniem ic hjest, żeby ten, kto im towarzyszy, kto im jest bliski (mąż, narzeczony, brat, przyjaciel) również przedstawiał się wytwornie.

Pierwszym warunkiem tego jest modnie skrojone, dobrze uszyte ubranie. Poza tym trzeba dla pięknego uzupełnienia całości, wszystkie dodatkowe części ubioru, jak koszula, krawat, kapelusz itd. umiejętnie i gustownie dobrać.

Indywidualny smak w ubiorze zasadza się obecnie na kolorach, przy czym od pewnego czasu na specjalne podkreślenie zasługuje dobór odpowiedniej (oczywiście i kolorowej) koszuli.

Kolorowe koszule są już tak mocno rozpowszechnione, że np. pojawienie się pana w koszuli białej zaczyna intrygować otoczenie, z racji tak uroczystego ubierania się.

Na noszenie koszul kolorowych wpłynął przede wszystkim wzgląd na ich praktyczność.

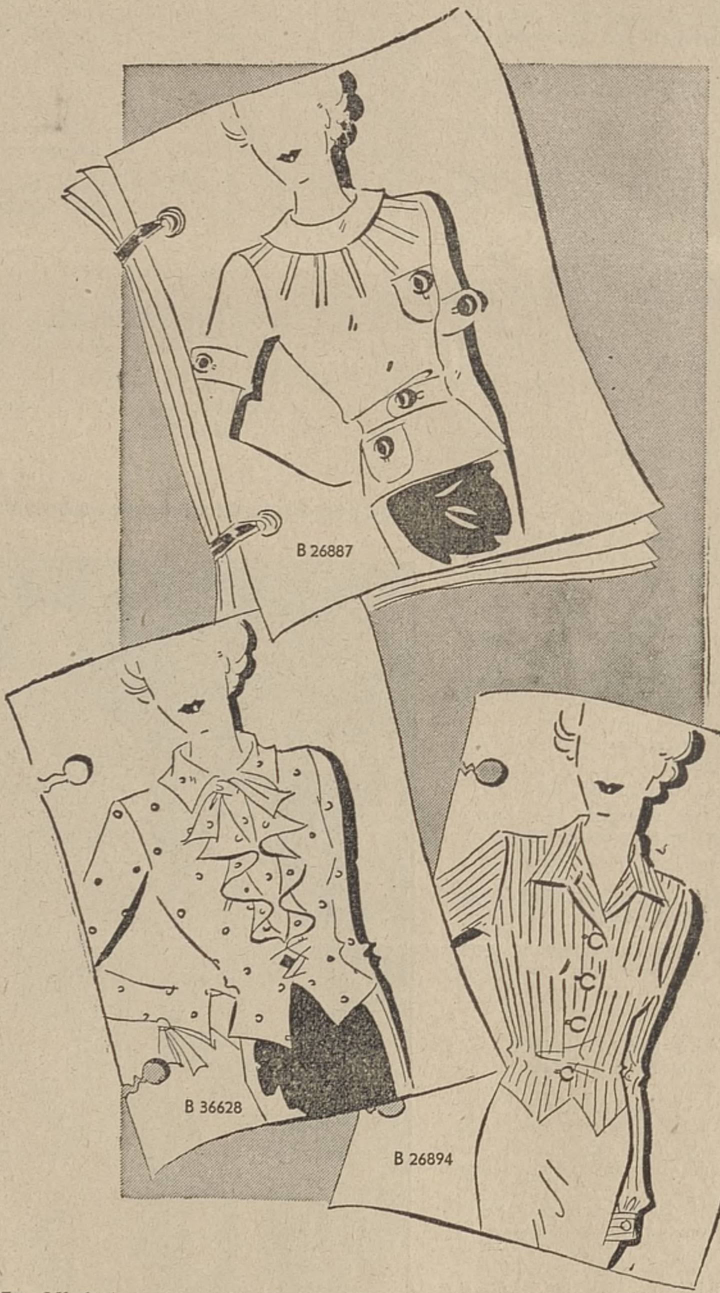
Ileż to kłopotu przysparzają białe mankiety? Szczególnie w drodze, podczas jazdy pociągiem lub w kurzu koszula biała szybko brudzi się i traci na elegancji.

Zachodzą również okoliczności, kiedy koszula biała wywiera, zbyt „zimne" wrażenie, które może nawet kłócić się z barwnym i wesołym tłem.

Oczywiście kolory krawatu muszą się ładnie harmonizować z barwą koszuli. Harmonizować — to znaczy tu dopełniać.

Podobnie, jak w koszulach, tak i w chusteczkach do butonierki zapanowała różnokolorowość. Jedynie przy ubraniach ciemnych, zwłaszcza czarnych, wizytowych, widzi się chusteczki białe lub lekko kremowe, jedwabne. Do innych ubrań nosi się chusteczki w kolorach jaskrawych, kontrastowych. Dobrane gustownie do ubrania i krawatu — pięknie uzupełniają one całość ubrania.

Krawaty w paski, groszki i kratki mają tło coraz jaśniejsze. Nie dawno jeszcze krawat w kratki do koszuli w paski uchodził za przebój sezonu. Obecnie należałoby krawat dobrać raczej do ubrania. Tło krawatu powinno z kolorem ubrania harmonizować, pięknie się uzupełniać, a jaskrawe paski, groszki i kratki tworzyć powinny kontrasty. Przy tym musi być krawat przede wszystkim twarzowy.



B 26887. Młodociana bluzeczka z jedwabiu do prania lub lnianego batystu, przybrana dwoma kieszeniami i mankiecikami o tej samej zaokrąglonej formie.

B 36628 Lekka bluzeczka z fularu w grochy. pięknie przybrana efektownym żabotem.

B 26894 Miła bluzeczka w delikatne paski, uszyta w formie kamizelkowej, zapinana z przodu na cztery guziki.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie 1,60 zł za sztukę.

Świat i życie

Nieoceniony dar mowy

Mowa ludzka, dająca możność porozumienia się wzajemnego, rozumienia najbardziej nawet subtelnych myśli, wyrażonych słowem, jest tak wielkim naszym skarbem, że największe nawet bogactwa materialne nie zdołałyby go zastąpić. W szeregu stworzeń najróżnorodniejszych, jedynie człowiek posiada ten wielki przywilej używania mowy. Są wprawdzie bowiem pewne znaki porozumiewawcze u zwierząt, które uczeni naturaliści pilnie studiują i wysnuwają stąd czasem wnioski, co do zdolności tych czy owych gatunków zwierzęcych w kierunku pielęgnowania organicznego słownictwa, bo zawierającego tylko kilka zaledwie dźwięków nieartykułowanych, które mają coś oznaczać, i które rzeczywiście rozumieją, czy też odczuwają inne jednostki tegoż gatunku, ale przecież sami przyznają, że to są objawy porozumiewania się bardzo nikłe i mową we właściwym tego słowa znaczeniu tego zjawiska nazwać nie można.

Co innego człowiek. Niech nawet skutkiem jakichś nienormalności fizycznych będzie pozbawiony daru wysławiania się, znajdzie przynajmniej sposoby zastępcze, jak to porozumiewanie się naprzykład głuchoniemych na migi.

W ostatnich dniach natrafiono na całkiem osobliwe zjawisko. Oto, w Szwecji, w najgłuchszym jakimś zakątku, dokąd niemal nie dociera żadna ludzka istota, prócz) zamieszkującej tam jedynej rodziny, składającej się z rodziców i dwojga dzieci Rodzice jednak dzięki zaniedbaniu, czy wyjątkowych okoliczności, nie dbali o swoje dzieci i nie przebywali z nimi. Pozostawione same sobie musiały przecież te nieszczęśliwe dzieci porozumiewać się w jakiś sposób ze sobą. Instynkt przecież im wskazywał, że mogą wyrażać nawzajem swoje myśli i pragnienia. Słyszały może zresztą bardzo ograniczoną ilość słów i zawrotów. przy pomocy których w rzadkich wypadkach raczyli rodzice obdarzyć łaskawie swe zaniedbane dzieci. Ale to była, niestety, kropla w morzu. Cóż więc dzieci mają czynić? Oto tworzą sobie same własny, niepodobny do żadnego innego, język, którym coraz lepiej się porozumiewają i doprowadzają go do... doskonałości. Język, którym mówią na świecie tylko dwie te małe istoty, opuszczone, zaniedbane, przez własnych nawet rodziców,

lecz nie zaniedbane przez naturę, która im dała możność używania rozumu i mowy.

Dziwnym zbiegiem wypadków, spotkał te dzieci człowiek kulturalny. Zabrano je do kliniki i tam poddano zarówno obie istoty jak i ich język specjalnym badaniom, a kto wie, może ta wyjątkowa gramatyka tak iście niezwykłego języka okaże się bardzo ciekawa.

Bądź co bądź, fakt ten jest jeszcze jednym objawem triumfu ducha ludzkiego i jakże niezmiernej wyższości człowieka nad ustrojem jednego z najwyższych chociażby gatunków zwierzęcych.

Myśl, rozum i mowa, skarb nieoszacowany, którego niestety, jakże często nie umiemy cenić i należycie zeń skorzystać.

Rośliny i zwierzęta jako chemicy

Rośliny i zwierzęta są o wiele zdolniejszymi chemikami od ludzi. Potrafią one dokonać takich sztuczek chemicznych, które są dla ludzi jeszcze niedoścignioną muzyką przyszłości. Jest nawet prawdopodobnym, że niektóre zagadnienia, rozwiązane przez nie, pozostaną tajemnicą.

Rośliny posiadają zdumiewającą sztukę ssania z powietrza bezwodnika węglowego, rozdwajania go na węgiel i tlen i wytwarzania z pierwszego w połączeniu z anorganicznemi substancjami, branemi z ziemi związków cukru, potrzebnych im do budowy swego organizmu. To przejście z anorganicznego do organicznego jest czemś wprost cudownem, czego zapewne człowiek nigdy nie będzie umiał naśladować. Bez tych zdolności roślin, ani ludzie, ani zwierzęta nie mogliby istnieć. Rośliny przygotowują dla nas z substancyj anorganicznych, organiczne materiały budowlane, któremi się żywimy.

Podobnie i mikroby czyli drobnoustroje posiadają zudmiewające zdolności chemiczne. Mikroby świecące np. potrafią wytwarzać zimne światło. Nasze światło elektryczne posiada jedną ogromną wadę, że zużywa tylko niewielką część prądu elektrycznego, gdy reszta energii elektrycznej zmienia się w niepożądane ciepło.

Wielkim chemikiem jest także atramentnica, która dzięki skomplikowanemu procesowi fermentacyjnemu, jaki odbywa się w jej organiźmie potrafi wytwarzać ową ciecz czarną, którą broni się przed swymi wrogami.

Do rzędu uczonych chemików należy także pewien rodzaj ślimaka, żyjącego w Morzu Śródziemnem, który potrafi fabrykować wysoce trującą substancję, witriol. Ulubionym smakołykiem dla tego ślimaka są pewne skorupiaki, jak jeże morskie itp. Ślimak wydziela na nich pancerz wapienny witriol, który go rozpuszcza, udostępniając mu pożądane pożywienie. Tajemnicą jest, w jaki sposób ślimak potrafi wytwarzać ter. kwas żrący, i jak się to dzieje, że trucizna ta nie wywołuje ujemnych skutków w organiźmie ślimaka.

Doskonałymi chemikami są także zwierzątka koralowe i ostrygi, które dobywają z wody morskiej zachodzące w niej w minimalnych ilościach metale jak srebro, cynk i inne. Prawie wszystkie zwierzęta morskie potrafią wyrabiać wielce trujący arszenik, bez uszczerbku dla swych funkcyj organicznych.

ADAM CZEKALSKI. **Przedruk wzbroniony.**

ZEMSTA

(NOWELA).

Ślad ostatniego pocałunku nie zdążył jeszcze zniknąć z twarzy Izy, gdy do mieszkania wszedł Rafał. Obrzucił oboje siedzących, żonę i przyjaciela swego, Rocha Smolińskiego, ciekawym spojrzeniem i bacznej jego uwadze z pewnością nie uszedł odruch ich obojga — odsunięcia się od siebie. Odruch ten był gwałtowny i zupełnie jakby niespodziewany.

Jednakże Rafał zdawał się niczego nie spostrzegać. Przywitał żonę i Smolińskiego swoim zwyczajnym, codziennym „dobry wieczór", zrzucił ciężką kurtkę, usiadł przed kominkiem i wyciągnąwszy zmarzłe buty do ognia, jakiś czas patrzył na parę, unoszącą się z tającego pod wpływem ciepła obuwia, a w końcu zauważył:

— Ależ mróz! Będzie ze dwadzieścia stopni.

Żona spojrzała na niego trwożnie, Roch bąknął coś w odpowiedzi i znowu zaległo milczenie.

Roch zarówno rozumiał, jak i zdawał sobie sprawę z niewyraźności sytuacji, ale w tej chwili nie myślał i nie zastanawiał się nad tym. Jego umysł pochłonięty był całkowicie rozważaniem, czy Rafał widział lub domyśla się czegokolwiek? Mógł przecież patrzeć przez okno, mógł widzieć.

Roch zerknął ku oknu i z zadowoleniem upewnił się, że okno całkowicie zamarzło i że niesposób zobaczyć cokolwiek przez nie. W takim razie musi się domyślać, nie jest wszak zupełnie ślepy...

Potem przyszły mu na myśl rozważania moralnoetyczne. Toż on postąpił z Rafałem podle, tak dalece podle, że gorzej nie można było.

Oto wierny druh, przyjaciel od dziecka, przyjął jego, zblazowanego światowca, niczem najserdeczniejszego brata. Długo nie chciał się zgodzić, aby Roch szukał mieszkania gdzieś na wsi, długo nalegał, by zamieszkał w jego domu, gdzie miejsca jest dość. Roch jednak nie zgodził się. Miał w tym swoją własną myśl. Chciał poprostu wypocząć całkowicie po hulaszczym życiu w stolicy. Zaś w domu obcym, choćby to był najserdeczniejszy przyjaciel, czujemy się zawsze do pewnego stopnia skrępowani. Dlatego Roch wolał zamieszkać w wynajętym mieszkaniu na wsi, niż w domu Rafała.

Bywał jednak bardzo często u Rafałów, gdyż w całej wsi był to jedyny — w jego pojęciu — dom kulturalny. Poza tym pani domu, znana niegdyś piękność na bruku stołecznym, była jego dobrą znajomą, jeszcze z okresu, nim ożenił się z nią doktór weterynarii Rafał i uwiózł ją na stałe do swojego dwudziestomorgowego gospodarstwa.

Piękna Iza wiele przeżyła, zanim przywykła do stolicy do wsi i nowych warunków. Przytem Rafał wiecznie zapracowany, ciągle w drodze i w chlewach gospodarskich, nie odpowiadał p. Izabeli i jej pojęciom o mężu, jego roli i obowiązkach w pożyciu małżeńskim.

Nagle zjawił się on, Roch...

Stęskniona za dawnym życiem, za miłością subtelną, pojmowaną na sposób więcej romantyczny, Iza powitała Rocha radośnie.

Roch wprawdzie, przyjeżdżając tutaj, przyrzekał sobie nie zawiązywać żadnych miłostek, żadnych intryg — spokój, wypoczynek i całkowite splendid isolation.*) Ale natura ciągnie wilka do lasu. Roch nie mógł się oprzeć pokusie; była zbyt silna. Poza tym, Iza była jedyną kobietą, mogącą wchodzić w jego rachuby, na tym pustkowiu, i to kobietą o wspaniałym ciele i fascynującej urodzie. Przyszło przeto wkońcu to, co przyjść musiało wcześniej lub później. Zawiązał się romans grzeszny przede wszystkim dla nich obojga, gdyż oboje zdradzali człowieka szlachetnego, dla którego mieli duży szacunek.

Roch z gniewem spojrzał na Izę. Ona, tylko ona jedna temu winna, że postąpił tak haniebnie, tak nieuczciwie.

Potem przesunął uważny wzrok z niej na Rafała i znowu pomyślał:

— Wie o wszystkim, czy nic nie wie? A jeśli wie, co uczyni?

Mimowoli porównał swoją herlawą postać mieszczucha z potężnymi barami tego wiejskiego tura, i mróz poczuł w krzyżu.

— Nie dałbym mu rady — stwierdził w myśli trwożnie. — Ale chyba Rafał nie zechce walczyć ze mną na pięści? On wprawdzie chłop, ale człowiek wykształcony i nie są mu obce zasady rycerskiej walki.

Tymczasem Rafał, podobny w półmroku do potężnego bloku granitu, siedział nieruchomo przed ogniem i grzał nogi. Spokojnie nabił fajkę, wziął w szczypce węgielek i długo zapalał...

Odblask żarzącego się w szczypcach węgla oświetlił mu twarz purpurowo-złotym blaskiem i, zarówno Iza jak Roch, aż drgnęli, tak ta twarz wydała im się straszną.

Roch mimowoli pomacał ręką rewolwer w kieszeni. Iza niespokojnie spoglądała raz na kochanka, raz na męża. Czuła, że tu się coś stanie, przyjdzie coś takiego, czego nikt z tych dwojga nie spodziewa się wcale.

Sytuacja naprężała się z każdą chwilą, stawała się wprost nie do zniesienia. Oboje, Iza i Roch, postokroć woleliby, ażeby Rafał wreszcie przemówił. To wniosłoby niewątpliwie odprężenie. Lecz Rafał siedział przed ogniem wciąż nieruchomo, palił fajkę i patrzył w ogień.

Roch nie mógł dłużej wytrzymać, powstał więc mimowoli i zaczął się żegnać:

— Późno już, trzeba mi wracać do domu.

— Już? Cóż ci dziś tak spieszno? — zapytał na pozór naturalnym i obojętnym głosem Rafał.

— Już późno...

Roch sięgnął po kurtkę z zamiarem ubrania się. Teraz dopiero powstał również Rafał.

Olbrzymia jego postać wydała się Smolińskiemu jeszcze potężniejszą, bo wyolbrzymioną targającym go zwątpieniem i niepewnością co do myśli i postanowień tego olbrzyma.

— Pójdę z tobą — rzekł Rafał, spoglądając na zegarek — odprowadzę cię kawałek drogi... noc teraz ciemna...

— Aaa! — wydarł się przeraźliwy okrzyk z ust Izy. — Rafale, chcesz pójść, zostawić mnie tutaj samą, w nocy? Ja się tak boję sama!...

— Istotnie, lepiej zostań — wyrzekł zdławionym głosem Roch.

— Co się z wami dzisiaj dzieje? Izo, czyż to raz sama w nocy byłaś w domu? Czyż pierwszy raz dzisiaj wieczorem wychodzę? A zresztą, wrócę za jakieś trzy kwadranse.

— Nie, nie, nie odchodź, ja się boję, ja się bardzo dziś czegoś boję, Rafale!...

*) Czyta się: splendid ajzolejszn = wspaniałe odosobnienie.

Uczepiła się jego ramienia, opierając swoją jędrną pierś o niego, przysunęła do jego twarzy przeraźliwie pobladłą twarzyczkę, ale Rafał złożył tylko zimny pocałunek na jej czole i odsunął ją delikatnie, biorąc kurtkę futrzaną.

— Dziwna jesteś, Izo. Cóż ci się może stać za ten krótki czas mojej nieobecności w domu?

— Nie odchodź, Rafale, nie odchodź...

Rafał włożył kurtkę, wzruszył ramionami i rzekł do przyjaciela:

— Chodźmy. A zapnij się dobrze, bo dziś mróz tęgi, możesz się przeziębić.

Wyszli przed dom. Niebo iskrzyło się miliardami gwiazd, jak diamentowymi ćwiekami. Śnieg skrzypiał pod nogami. Daleko przed nimi błyszczały rzadkie światełka na torze kolejowym i wiatr wygrywał na drutach telegraficznych serenady zimowe.

Skręcili na ścieżkę, wiodącą wzdłuż toru. Rafał sadził olbrzymimi swymi krokami naprzód, pykając od czasu do czasu z fajeczki. Roch z trudem dotrzymywał mu kroku, a jednocześnie myślał:

— Pewnie wyprowadzi mnie w pole i zabije. Albo wyzwie na pojedynek.

Pomacał zimną stal pistoletu.

— Dobrze, panie niedźwiedziu, zmierzymy się. Zobaczymy czyje będzie na wierzchu. Chcesz pojedynku bez świadków — zgoda.

Naraz Rafał przystanął. Roch zatrzymał się również i instynktownie ścisnął mocno głownię pistoletu. Lecz doktór wysypał tylko resztki niedopalonego tytoniu z fajki, nabił ją na nowo, i zapalił. Po chwili szli dalej, tuż przy samym torze kolejowym. Rafał spojrzał na zegarek w blasku żarzącej się fajki. Była godzina 10.20.

— Co on zamyśla? — myślał gorączkowo Roch — gdzie mnie prowadzi?

Zapomniał w zdenerwowaniu, że tą samą drogą wracał każdego wieczoru do domu. Potem przyszła mu na myśl Iza.

— Co ona tam teraz robi? Siedzi w ciepłym mieszkaniu i wyczekuje męża. No, niewiadomo, czy w ogóle wróci?

I gniew go ogarnął dziki.

— Kusiła tak długo, aż zawiodła mnie na bezdroże. Sylfida, która zamiast ujeżdżać swego Trytona, mnie na pokuszenie wodziła. O, gdybym jej to mógł w oczy rzucić, gdybym mógł...

Potężna pięść Rafała spadła mu nagle na ramię, i potem na głowę i przygniotła go twardo do ziemi. Rocha zamroczyło. Gdy oprzytomniał, poczuł się rozciągniętym w poprzek toru kolejowego i przytwierdzonym sznurami do szyn.

Roch spojrzał do góry i ujrzał stojącego nad sobą olbrzyma, który w blasku ognia z fajki patrzył na zegarek.

— Rochu, módl się. Za czterdzieści minut będzie tędy przejeżdżał pociąg pospieszny.

— Aaaach!...

Na niebie mrugały gwiazdy, a wiatr śpiewał wciąż w drutach telegraficznych. Z początku Roch leżał spokojnie, tak dalece zaskoczony i przybity niespodzianym napadem, że to sparaliżowało zupełnie jego wolę i czucie. Dopiero po chwili poczuł, że okropny ziąb zaczyna przenikać jego ciało i rozpacz śmiertelna podnosi mu się w duszy.

(Dokończenie w następnym numerze)



Mała Shirley idzie ze swoją mamusią na premierę swego najnowszego filmu

Przez drogę nie brała udziału w rozmowie, którą prowadził Wolf z Rachelą, o starym Marku i jego zamiarach, aby Ilonę ożenić we Francji z Tortinbrozem.

Zamyśliła się i z zadumy wyrwał ją dopiero turkot kół, gdy wóz, na którym jechali wjechał na kamienny bruk miasteczka.

— Zimno będzie w nocy — rzekła — czy wzięliście na drogę trochę jakiej wódki?

— Nie — odpowiedziała Rachela — wszystko nam wyszło.

— Trzeba będzie kupić — rzekła Ilona obojętnie — zatrzymaj się koło wyszynku — zwróciła się do parobka.

W wyszynku kupiła sama flaszkę anyżówki i wracając do wozu wlała do niej niespostrzeżenie zawartość jakiejś małej flaszeczki.

Za chwilę wóz ruszył dalej i gdy przybył na dworzec, przekonali się podróżni, że jeszcze jest wiele czasu do odejścia pociągu.

Rachela zaproponowała, żeby sobie czekanie skrócić w ten sposób, by każdy pociągnął raz z flaszki.

Ale Ilona sprzeciwiła się temu stanowczo.

— Nie można — rzekła — już ja wiem, jakby się to skończyło. Wszystko byście tu wypili, na drogę nic by nie zostało i musielibyśmy drugi raz kupić, a w podróży trzeba być trzeźwym. Nic z tego, ja flaszki z rąk nie wypuszczę!

Towarzystwo musiało więc czekać, aż ona sama da im się napić.

Konduktor zadzwonił i zawołał, żeby wsiadać; cyganie zajęli miejsca w jednym przedziale i ulokowali się na ławkach, przy czym Ilona uważała, aby jej się dostało miejsce na kraju.

Zawiniątko swoje położyła pod ławkę, ale trzymała na nim nogę, aby mieć je stale pod ręką.

Gdy już konduktor przestemplował im bilety, wyciągnęła flaszkę i przytknęła ją do ust, uważając jednak dobrze, żeby się, broń Boże, nie napić.

Udawała, że pociągnęła spory łyk, w rzeczywistości jednak nie połknęła ani jednej kropli.

Potem podała flaszkę Racheli.

Stara pociągnęła spory łyk i skrzywiła się straszliwie.

— Ależ gorzka! — zawołała — to ja już wolę wiśniówkę!

— Co tam gorzka! — zaśmiał się Wolf, biorąc jej z rąk flaszkę, i ciągnąc przez dobrą chwilę — ale za to grzeje.

— Benari dogodził sobie także, a gdy Ignacy nie chciał pić, wypił za niego resztę z flaszki.

Wnet Wolf i Benari usnęli snem kamiennym, a Ilona patrzyła na nich, nie mogąc ukryć radości. Złościło ją tylko to, że ani Rachela, ani Ignacy nie myśleli położyć się do snu.

Wariat Ignacy pod wpływem turkotu kół i szybkiej jazdy, taki był wzburzony, że Rachela rady sobie z nim dać nie mogła, Ilona zaś w nadziei, że będzie to mogła wyzyskać do ucieczki, drażniła go jeszcze bardziej.

— Zdechlaku jakiś, nie wrzeszcz — mówiła, gdy go Rachela łagodnie chciała uspokoić.



Zdjęcie sławnej amerykańskiej lotniczki Amelii Earhart, która zaginęła podczas ostatniego swego lotu. Poszukiwania w celu odnalezienia jej trwają.

— Ty małpo! — krzyczał Ignacy — ty ludzi wtrącasz do przepaści, ale za to nie zostaniesz żoną hrabiego.

Rachela była w rozpaczy. Mężczyźni obaj spali, ona zaś sama rady sobie nie mogła dać z nimi.

Podróżni irytowali się, że taki wrzask jest w wagonie.

— Zlitujcie się ludzie! — prosiła Rachela — on nie ma zdrowych zmysłów i dlatego jest dziś tak nieznośny.

— Dlaczego więc braliście wariata w podróż! Taki może jechać tylko w osobnym przedziale.

Na następnej stacji poskarżyli się u konduktora, który zabrał Rachelę z Ignacym do osobnego przedziału. Rachela chciała wziąć z sobą także Ilonę, ale dziwnym sposobem Ilona spała tak mocno, że nie można było jej obudzić. Poszła więc sama z Ignacym.

Przebudziła się jakoś bardzo prędko po jej wyjściu i wyjeździe pociągu ze stacji.

— Strasznie jestem spragniona! — rzekła do towarzyszy podróży. — Chciałabym się napić czegoś. Czy pociąg wnet się zatrzyma?

— Właśnie stał przed chwilą — zaśmiała się jakaś pani.

— Ach, mój Boże! — martwiła się Ilona — to ja do rana będę musiała się męczyć!

— Tak źle nie będzie! — pocieszała ją jakaś gruba pani — bo za pół godziny staniemy na dziesięć minut w Braunau.

— Chwała Bogu! — mówiła Ilona — a co się stało z tą staruszką, która jechała ze mną i z tym wariatem, pytała dalej.

— Wzięli ich do osobnego przedziału — objaśniał jakiś towarzysz podróży.

— Dziękuję panu za uprzejme wyjaśnienie, odpowiedziała piękna dziewczyna z uśmiechem — to ja na następnej stacji muszę się przesiąść do tamtego przedziału.

Podróżni śmiali się z niej, że tak mocno spała, że nie wiedziała nawet, co się z nią działo, a Ilona myślała sobie:

— Dobrze, że się tak stało, bo gdy na następnej stacji wysiądę i zabiorę ze sobą swoje zawiniątko, to nikogo nie zdziwi, wobec tego, że mam przesiąść do wagonu, w którym umieszczono Rachelę z Ignacym. Po drugie, dobrze jest, że gdy Benari i Wolf zbudziwszy się, zobaczą, że mnie nie ma i zechcą narobić hałasu, reszta pasażerów uspokoi ich wiadomością, żem się przesiadła do Racheli i Ignacego. Tym sposobem ucieczka moja będzie mogła bardzo długo zostać ukrytą, bo Rachela będzie myślała, że jestem tu razem z chłopcami, a ci znowu będą sądzili, że się znajduję w przedziale Racheli.

Gdy się tylko pociąg zatrzymał w Braunau, wyskoczyła Ilona ze swoim zawiniątkiem i zmięszała się z tłumem podróżnych w poczekalni, zaś pociąg ruszył dalej.

Chwała Bogu! Udało jej się świetnie. Benari i Wolf spali jeszcze, a stara ledwie sobie radę dać mogła z krzyczącym ciągle Ignacym.

Ilona była więc wolną, ale na nieszczęście miała przy sobie tylko parę groszy, a od zamku Felseg dzieliło ją z 20 mil drogi. Gdyby chciała pójść pieszo, potrwałoby to co najmniej 3 dni, a tak długo nie mogła zostawić Wernera samego.

Przystąpiła do jednego z młodych urzędników i zapytała się kiedy odchodzi następny pociąg do Petershagen, bo tak się nazywała najbliższa stacja do zamku Felseg — a gdy się dowiedziała, że dopiero nazajutrz, o ósmej rano idzie pociąg osobowy w tamtą stronę, zaczęła płakać i ręce załamywać.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Łamigłówka sylabowa.

pod M. Z.

dość — a — o — o — częs — rzad — śli — mło — dzo — mło — sta — ci — sta — doś — my — ko — roś — bar — ci — rość — to.

Powyższe sylaby poprzestawiać w ten sposób, aby powstała głęboka myśl życiowa.

Kwadrat magiczny.

pod. „Eros".

	a	a	a	a	
a	a	a	a	d	d
f	f	k	k	k	k
k	k	k	k	l	l
n	n	o	o	o	r
	s	s	t		

Z liter w figurze ułożyć cztery wyrazy sześcioliterowe, które można czytać pionowo i poziomo.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązanie zadań z numeru 28 „Moich Powieści": Dopełnianka: 1. Wakacje, 2. Kwadrat 3. Kowadło, 4. Krawaty, 5. Chorwat, 6. Siklowa. Bilety wizytowe: 1. Radiotechnik, 2. Korektor, 3. Wizytator szkolny.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Kiełpiński Ludwik — Bydgoszcz, Hodzierski Jan — Grudziądz, Kozłowska Maria — Katowice, Dębski Zygmunt — Poznań, Murawski H. — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Hodzierskiemu z Grudziądza i Murawskiemu z Poznania.

FLAVIA STENO

Nauczycielka

Książka ta napisana została bardzo dawno, gdy jeszcze Flavia Steno nie istniała, a młodziutka włoszka, Amelia Osta, wykładała Literaturę i Historię włoską w Normalnej Szkole Żeńskiej w Locarno (Kanton Ticino) sześćdziesięciu uczennicom, z których niektóre starsze były od niej.

Dla tychto swoich uczenic, aby, opuszczając szkołę i rozstając się z nią, pamiętały o swej nauczycielce, napisała Osta trzy szlachetne powieści: tę właśnie Nauczycielkę, Baroneta Mignon i Bez skazy, które ukazały się wówczas drukiem w Wydawnictwie Speirani w Turynie.. Wydawca Rappelli odnalazł je i przedrukował w swoim zbiorze powieści dla panienek. A Flavia Steno, nie mogąc się wyprzeć tego obrazu swej odległej młodości, pozostawiła go umyślnie takim, jakim był: nienaruszonym i bez cienia sztucznych upiększeń.

Część I.

Lynu-Castle, 20 września 1896.

Czemże jest życie! Niktby napewno nie przypuszczał, ani ja nigdy nie byłabym pomyślała, że pewnego dnia znajdę się tutaj, tak daleko od mego domu i wszystkiego co kocham. Niktby nie mógł tak smutnie wróżyć: opuścisz swą kochaną rodzinę, by iść daleko od ojczyzny, daleko od twej Italii, daleko od kontynentu i pójdziesz sama do nieznanego kraju, miedzy obcych ludzi. Pójdziesz, by nieść słodki dialekt twej Florencji do jasnej, mglistej i zimnej Anglii. Ty, delikatna i wypieszczona, zostaniesz pewnego dnia surową nauczycielką dzieci barona angielskiego. I to, czego nikt nie byłby przewidział, nastąpiło. O mamo! moja biedna, zmarła mamo! Twój tylko duch będzie mnie pocieszać i wspierać tutaj! Dla mojego nowego i smutnego życia, jakie dziś zaczynam, dla ciemnej przyszłości, przed którą drżę z obawy, dla niewdzięcznego zadania, jakie mię czeka, ja wzywam z płaczem twego błogosławieństwa. O mamo moja! biedna, święta, która tyle wycierpiałaś i przepłakałaś, czy ty widzisz przynajmniej całą mękę mego biednego serca? Patrzysz na mnie? Słyszysz mnie? O moja biedna, zmarła.. Widzisz, jakie twoje dziecko jest nieszczęśliwe?

Przyrzekłam sobie być silną. Ale samotność i nostalgia są silniejsze ode mnie. Jestem zmęczona i słaba. Podróż była długa i okropna, przejazd od Calais do Douvres bardzo burzliwy, a ośmnaście godzin jazdy koleją z Douvres do Shies wstrząsnęło mną całą. Sama! jestem sama! Powtarzam sobie bez przerwy te dwa słowa. Czyż one nie zawierają wszystkiego?

Na niebie jest wspaniały księżyc, który oświeca przyrodę milczącą i zimną, jak jakiś zamknięty cmentarz: jakież smutne, jakież uroczyste krajobrazy ma ta Anglia! W dali pagórki Barth zamykają krajobraz, jak linia prosta, rzucona na wygwieżdżone tło rozległego i niskiego nieba: długi obszar łąk, obsadzonych brzozami, rozciąga się przed zamkiem: na prawo i w tyle park. Przynajmniej tak zgaduję z ciemnej plamy drzew, które widzę tam, z tyłu. Jakże melancholijny jest ten Lynn-Castle! Jakie tu wszystko samotne i ciemne! Przypominają mi się romantyczne i stare średniowieczne historie.. Może tu jest gdzie niedaleko jakieś fatalne jezioro, w którym przegląda się biała dama, prorokini nieszczęścia? Może tu jest gdzie wewnątrz wieża, zamieszkała przez duchy, albo jakaś bardzo starożytna zbrojownia, gdzie nocą słyszy się jeszcze brzęk szpad, skrzyżowanych w morderczym pojedynku? Piszę to żartem, ale mimowoli czuję w głębi duszy lodowate uczucie, jakby przerażenie...

Uczuwam zimno i cierpię ogromnie!

Co mnie spotka tutaj? Czy będę kochana.. Czy też czeka mnie niewdzięczny obowiązek cerbera, którego się obawiają, a szanują tylko tyle, ile każą najelementarniejsze reguły dobrego wychowania? Kto wie!

Rodzina wydała mi się bardzo dziwna, jakkolwiek siostra Elżbieta zapewniła mnie, że jest to jedna z najszanowniejszych rodzin w Devonshire. Może to dla tego, że dzisiejszego wieczoru czułam strach przed bardzo problematyczną przyszłością i przez to mój sąd był może fałszywy. Pewną rzeczą jest jednak, że tu muszą cierpieć.

Sir St. John przypomniał mi Nemroda, wielkiego myśliwego przed obliczem Boga, jednak pod tą szorstką powłoką musi znajdować się wielka delikatność i wielka prawość. Miss Lawinia, siostra barona, wcale mi się nie podobała. Prawdziwy typ angielski: zimna, sztywna i mrukliwa: przyjęła mnie z lodowatą powagą.. O moja biedna duszo, bądź odważna! Masz jeszcze najświętszy obowiązek do spełnienia: bądź czułą i dobrą matką dla tych biednych sierot.. To są jedyne duszyczki, które kocham tutaj: mała Daisy jest kochana. Katty jeszcze w powijakach. Ona to kosztowała życie swoja biedną matkę: Lawrence, najstarszy biedak, jest bardzo nieszczęśliwy. Jedyny męski potomek sir Johna ma całą lewą część ciała sparaliżowaną: ten, który powinien być dumą barona, jest jego najdotkliwszym i ciągłym cierpieniem.

Jest może pełne szczęście tu, na ziemi?...

Jestem zmęczona i smutna... Jutro porobię lepsze obserwacje. Przybyłam dzisiaj późno wieczór: była właśnie pora five o' clock'u, a ja poprosiłam natychmiast, by mi pozwolono odejść do siebie... Jutro, co mnie czeka?!..

Żegnaj, moja biedna Florencjo, ukochana pomimo smutnych wspomnień, które w tobie zostawiam! O mój Lungarno, o pagórki ukwiecone, o słodka i melancholijna dróżko do Cascine, żegnajcie!... A nade wszystko, nade wszystko, żegnaj San Miniato, gdzie matka moja śpi snem wiecznym w uroczystym spokoju, żegnaj!...

Giannina de Breda już nie żyje. Tu jest tylko mała nauczycielka baronówny St. John!

21 wrzesień.

Jeden dzień minął. Smutny i bardzo bolesny, ale słodki w zupełnej samotności, której moja dusza tak potrzebuje.

Wczoraj zasnęłam płacząc i dzisiaj rano zeszłam na dół z zaczerwionymi oczami. Miss Lawinia była sama w jadalni i skorzystała z tej krótkiej chwili, by mi udzielić potrzebnych wskazówek odnośnie do wychowania dziewczynki. W gruncie rzeczy całe moje zadanie sprowadzać się będzie do kształtowania umysłu i serca tej kochanej malutkiej, która wydała mi się odrazu bardzo sympatyczna. Miss Lawinia znaczyła mi jednak mnóstwo obowiązków. Nie opuszczać nigdy miss Daisy ani na jedną chwilę, mieć dozór nad nurse'y, kształcić Lawrence'a, który wydaje się bardzo inteligentnym i dobrym chłopcem. Wyobrażam sobie że, pomimo dobrych chęci, bardzo trudno mi będzie porozumieć się z tą panią co do metody wychowania. Ona żąda zimnej surowości, a ta nie wchodzi wcale w moje intencje: ja nie jestem stara panna angielska, nie mogę być nieczuła na wdzięk Daisy i nie wiem nawet, jak mogłabym patrzeć na nią surowo, gdy wybiega na moje spotkanie kochana i milutka, z tajkm słodkim wyrazem na bladej twarzyczce, rozjaśnionej lazurowymi oczętami.

Dosyć; spróbuję być surową, a przynajmniej ukryję mój poryw sympatii, gdy będę sama z maleńką.

Myślę jednak, że ona bardzo dobrze zna swoją ciotkę, gdyż, podczas gdy rozmawiałyśmy, weszła poważna i sztywna, jak malutki manekin poszła prosto do miss Lawinii, która w odpowiedzi na dzieńdobry tego aniołka, podała jej swą twarz, zeschniętą jak pergamin, którą trudno chyba całować z przyjemnością, potem podeszła do mnie, wyciągnęła rączkę z ukłonem trochę śmiesznym u tak małego stworzenia, ale wpatrując się jednocześnie we mnie długo i smutnie, zdawała się mówić spojrzeniem:

— Tak bym cię bardzo ucałowała, wiesz, gdyby cioci tu nie było!

Ciotka tymczasem wydawała się bardzo zadowoloną z zachowania dziewczynki, gdyż jej zimne szare oczy rozjaśniły się trochę i rzekła do mnie: — Widzi pani? Dziewczynka jest już bardzo dobrze wychowana; pani ma tylko prowadzić ją zawsze po tej drodze, którą ja pani nakreślę; musiałam się bardzo namęczyć, wie pani, gdyż ta malutka ma charakter bardzo żywy i gwałtowny. Matka jej, biedaczka pozwalała jej wzrastać samodzielnie, w nieograniczonej swobodzie. A gdy umarła, ja musiałam zacząć od początku wychowanie tej swawolnicy. Teraz jest już wcale dobrze. Patrzyłam ze współczuciem na malutką, która już usiadła na swym miejscu, nieruchoma i sztywna, jak mały posąg, ale z całego małego ciałka promieniowało namiętne życie: z figurki wysmukłej i subtelnej, z rączek i nóżek delikatnych i na sposób angielski - obnażonych, z małych usteczek różowych i świeżych, jak poziomka górska, z ciemnych i bujnych kędziorów, które zdradzały włoską krew zmarłej matki. I myślałam o tej biednej matce, co musiała pędzić bardzo smutne życie w tym surowym zamku północnym, zagubionym wśród niekończącej się równiny, zawsze osnutej mgłą, pod inkwizytorskim surowym okiem tej miss, zeschniętej, jak muzealne pergaminy, która, nie mogąc już dręczyć zmarłej, męczyła tę żyjącą małą.

Śniadanie, które jadłyśmy we trzy tylko, było bardzo smutne. Nie przeszkadzałam mówić niewyczerpanej miss Liwinii i patrzyłam jednocześnie na moją kochaną małą, siedzącą naprzeciw mnie z taką poprawością i tak okropnia dobrze wychowaną! Starałam się spojrzeniem wyrazić jej wszystkie słodkie pieszczoty macierzyńskie, jakiemi pragnęłabym ją otoczyć, a ona napewno zrozumiała mnie, gdyż co chwilę podnosiła na mnie swoje łagodne i głębokie oczu błękity, taka milutka i zdziwiona tym uczuciem, które odgadywała we mnie i które przypominało jej miłość jej biednej zmarłej matki!..

Zdaje się, że podczas śniadaia będziemy zawsze same: według zwyczaju angielskiego cała rodzina zgromadza się tylko przy obiedzie i przy herbacie o piątej. Rano każdy robi przeważnie to, co chce. Sir St. John wstaje bardzo wcześnie i dogląda swoich olbrzymich dóbr. Niedługo rozpoczną się polowania jesienne, a miss Lawinia mówi, że baron w tym czasie przyjmie całą high life z Devonshire.. Zdaje się, że to sprawia jej dużą nieprzyjemność.

Lavrence jada śniadanie w swoim pokoju z pomocą kamerdynera, który był przy jego urodzeniu i bardzo go kocha; mała Katty, laleczka, która kosztowała życie swoją matkę, nie wychodzi prawie nigdy z nursery.

I ja tam byłam po śniadaniu.. Wspaniałe są te nursery angielskie! Ta tworzy kompletny apartament; pokój mamki wygląda jak pokój pani z całym możliwym komfortem; pokój do nauki, gdzie będą się odbywać lekcje, jest obszerny, pełen powietrza, słońca i zapachów jesiennych; z tyłu jest łazienka dla dzieci i salon pełen zabawek. To będzie moje królestwo, gdyż zwyczaj angielski każe nauczycielce stale przebywać w tych apartamentach dziecinnych. I rzeczywiście, czyż nie jest to moje miejsce? Zresztą, siostra Elżbieta uprzedziła mnie o tym i nie znajduję tu niczego innego, niż to, czego się spodziewałam.

Obym tylko umiała zjednać sobie miłość na tym smutnym moim wygnaniu!...

Nie rozpoczęłam jeszcze lekcyj. Miss Lawinia z nieoczekiwaną uprzejmością zwolniła mnie z nich na dzisiaj mówiąc, że powinnam najpierw trochę odpocząć, poznać zamek i moich uczniów. Zdaje się, że będą dwa oddzielne kierunki studiów. Biedny Lavrence uczył się już przez cztery lata pod kierunkiem nauczyciela, który odjechał po śmierci baronowej. Nie wiedziałam, że Lavrence ma już szesnaście lat i bardzo mnie to zdziwiło; widziałam go tylko chwilę dzisiaj rano: wychodziłyśmy z nursery bramą, która wychodzi na ścieżkę parkową; on przejeżdżał w tym momencie przez ścieżkę na swoim smutnym fotelu kaleki, popychany przez starego, wiernego Petra..

Wielką pociechą jest dla mnie to, że tu znają i pamiętają mój ukochany język! Daisy mówi doskonale po włosku, baron również; jedynie miss Lawinia brzydzi się wszystkimi językami, poza swoim, tak szorstkim i antypatycznym. Ja będę prowadzić moje wykłady po francusku. Przy stole jednak będziemy rozmawiać wszyscy po angielsku..

Prawie cały dzień zeszedł mi w moim pokoju na rozpakowywaniu walizek, które nadeszły wczoraj wieczór. Jakaż rozdzierająca melancholia w bolesnych wspomnieniach, które te moje rzeczy wywołują. Tak płakałam, rozwijając moje biedne sukienki żałobne i wiele innych rzeczy, które mi przypominają przeszłość! O moja, biedna mamo! O mój najdroższy domie, tak daleki!

Znalazłam także jego fotografię w moim albumie pamiątek, ona również powinna zniknąć jako rzecz umarła, lecz niestety serce jest cmentarzem, w którym pamięć żyje wiecznie! Nic nie pomoże wymazywanie z niej przeszłości!...

O moja biedna duszo — bądź zatem silna!...

...Najsmutniejszą porą dnia jest pora obiadowa; tylko wtedy widuję barona, który jest bardzo grzeczny dla mnie, ale właśnie dlatego, iż czuję, że wszystkie myśli i wszystkie spojrzenia zwracają się ku mnie, jest mi nieprzyjemnie, muszę wyglądać na bardzo zakłopotaną.

Moja mała przyjaciółka poprosiła ciotkę i uzyskała od niej pozwolenie siedzenia obok mnie. Co chwilę czuje, jak jej mała rączka szuka mojej na krawędzi stołu. Miss Lawinia, zajęta dozorowaniem służby, nie spostrzega tego, a ja czuję się mniej samotna, gdy to małe serduszko tak bije dla mnie!...

Naprzeciwko mnie siedzi Lavrence na swym bolesnym fotelu; lokaj łamie mu chleb, kraje potrawy, nalewa wino, a on dopiero tak przygotowane spożywa. Ogromnie żal mi go i mam dla niego prawdziwy podziw. Musi być bardzo inteligentny i subtelny; ojciec patrzy w niego ciągle oczyma wilgotnymi od łez; razem rozmawiają o sprawach rodzinnych, o siostrzyczkach, o niedalekim polowaniu i o zbiorach. Lavrence mówi o wszystkim z rzadko spotykanym rozsądkiem i inteligencją. Rezygnacja filozofa i dobroć męczennika maluje się na jego bladej, owalnej twarzyczce, delikatnej i czystej i tak ładnej, jak u dziewczynki. Paraliżem jest dotknięty dopiero od roku, a musiał być wspaniałym chłopcem. Jest wysoki i dobrze zbudowany, tak, że jego mała, jasna i kędzierzawa

głowa, delikatnie wyrzeźbiona, o najczystszym greckim profilu, tworzy uderzający kontrast z szerokimi i silnymi ramionami. Ma wielkie i słodkie oczy, jak Daisy, ale taki ból wyrażają, że nie mogę w nie patrzeć bez wzruszenia.

Mówi po włosku najczystszym akcentem. — Jak jego matka — powiada baron z wzruszeniem w głosie.

A ja nie mogę myśleć bez niezmiernego smutku, o tym potężnym panu, tak nieszczęśliwym przez swe dziecko, i tak zawiedzionym we wszystkich swych najdroższych uczyciach.

Tylko Lavrence nazywa mnie zawsze moim właściwym imieniem. Dla innych stałam się już miss Jane.

Przyjemnie mi słuchać, gdyż wymawia moje imię bardzo wolno i z właściwym anglikom przeciąganiem. Biedne dziecko!

...Zwiedziłam już cały zamek; apartamenta zmarłej baronowej są stale zamknęte od dni jej śmierci. Na parterze znajduje się nieskończona ilość korytarzy, ogromna i surowa biblioteka, jadalnia, nursery, i kuchnia.

Na górze widziałam tylko jedno skrzydło budynku, to, w którym są apartamenta sir St. Johna, dzieci, miss Lawinii i moje. Jest tu tyle miejsca, że dla mnie przeznaczono trzy pokoje. Mam pokoik, gabinet i salonik z fortepianem i miniaturową biblioteką do mojej dyspozycji.

Piękny jest park i ogród! Ten park — to prawdziwy las z drzewami przeszło stuletnimi, nawodniony strumykami i kanałami, które kończą się w małym jeziorze. Są tam kasakdy, groty, sztuczne pagórki, cała miniaturowa przyroda, upiększona wytwornym i eleganckim smakiem.

Daisy zwierzyła mi się dzisiaj rano, że bardzo pragnęłaby, bym ją pocałowała; ucałowałam ją wiele, wiele razy w jasne czółko, w piękne włoski, ciemno-złote. Nazywam ją: „Moja dziewczynka"! I była taka nieszczęśliwa, że nie wiem, czy będę miała odwagę mówić do niej stale: miss Daisy!...

30 września.

Jak jednak smutne jest życie wśród nieustannego obowiązku! O moja biedna mamo, daj mi rezygnację i potrzebny spokój!

Moje biedne serce domaga się trochę słońca, a moje dwadzieścia lat chciałyby także mieć swoją cząstkę szczęścia! Czyż nie mamy wszyscy trochę prawa do jakiejś pociechy? Ach! ta samotność duszy w zupełnie obcym otoczeniu!...

Zmuszać się do tłumienia łez i szlochów pod stereotypowym uśmiechem, który narzuca dobre wychowanie i położenie. Biedne, biedne moje serce!...

Jedynie tutaj, o tej godzinie, w ciszy mojego spokojnego pokoju mogę odrzucić maskę i płakać... i myśleć!

Gdybym przynajmniej gdzieś daleko miała jakąś bratnią duszę, któraby mi od czasu do czasu przysłała słowo pociechy.

To tak smutno być samą na ziemi! Czuć w sercu skarby uczucia, szczodrobliwość, potrzebę abnegacji i nie móc tego dać nikomu! Czyż mam się zagłębić sama w sobie i tak umierać? O Panie, Panie, litości nad mymi dwudziestu latami!... Gdyby oni wiedzieli, ile zapału, namiętności, ile życia ukrywa się pod zimnymi pozorami surowości, która sobie sama nakazuję! Gdyby wiedzieli, jakie entuzjastyczne porywy przepełniają mą duszę dumną i kochającą!...

Och, móc wykorzystać całą mękę spragnionego serca móc wypełnić głuchą pustkę duszy uczuciem potężnym i nieskończonym, jakiego pragnę!... Mamo, mamo, mamo! Wzywam ciebie, biedna święta moja, która widzisz i wiesz i czytasz we mnie nawet to, czego nie piszę: Imię ukochane, które zabroniłam sobie wspominać kiedykolwiek, wspomnienie przeszłości minionej, jak krótki błysk, lecz wiecznie żywej we mnie! Ach! Cóż za rozpacz okropna!...

Sir Herbert St. John do margrabiny di Roussel.

Lynn - Castle 5 październik 1896.

Pozwoli pani, droga i zacna przyjaciółko, że jej dziękuję nieskończenie za grzeczność, wyświadczona mi przez wybranie na nauczycielkę do mych dzieci, panny De Breda. Nie mógłbym sobie wymarzyć istoty, któraby tak, jak ta, łączyła w sobie wszystkie najważniejsze przymioty umysłu i serca. Szczerze pani winszuję wynalezienia podobnej perły. Nie mogła mi pani lepiej dowieść prawdziwego i głębokiego uczucia, jakie żywiła dla mej biednej Cycylii i szczerego współczucia, jakie budze w pani te biedne sieroty. Wie pani, że nie miałem zamiaru przyjmować nauczycielki i zdecydowałem się na to jedynie widząc smutek i melancholię Daisy, powierzonej w opiekę mej siostrze. Lawinia jest najlepsza osobą, ale jest zbyt ostra i surowa na wychowawczynię tak delikatnej istotki. — Daisy ma usposobienie wrażliwe i nerwowe, jak moja biedna Cecylia. Pani nie może sobie wyobrazić do jakiego stopnia przypomina ona moją ukochaną zmarłą. Każdym spojrzeniem każdym ruchem, każdym uśmiechem, nawet tonem głosu i tym lekkim wyrazem zdziwienia, jaki miały lekko uchylone usta jej biednej matki. Bóg mi zostawił to żywe wspomnienie, dla powiększenia mej nieustannej męki!

Mówiłem pani zatem, że zdecydowałem się wziąć nauczycielkę, jedynie przez Daisy. Bałem się jednak zawsze wprowadzać obca w nasze zacisze rodzinne, było to dla mnie zbyt wielkim poświęceniem. Nadto powodem zastanowienia był dla mnie zawsze charakter Lawinii, która z niechęcia znosi mieszanie się osób drugich w sferę dotyczącą dzieci. Poleciłem się więc pani i dziękuję Bogu, że mnie tak natchnął.

Muszę pani wyznać, że gdy zobaczyłem po raz pierwszy miss Jane, byłem trochę przestraszony. Doprawdy, powiedziałem sobie wówczas: Zbyt piękna!

Czy pani wie o tym, margrabino, że jej protegowana jest skończenie piękna? Tak doskonała estetycznie, że niemiejе się z podziwu? Ja nie zapomniałem tego wieczoru, gdy przyjechała. I mogę pani powiedzieć, że widziałem wrażenie moje odzwierciedlone na twarzach Lawinii, Daisy, Lawrence'a, który zarumienił się jak zwykle, gdy jest pod silnym wrażeniem.

Ale większa niespodzianka czekała nas nazajutrz, gdy w porze obiadu miss Jane ukazała się w sali. Gdyby mi pani nie była przedtem powiedziała, że ona należy do jednej z najstarszych rodzin włoskich, świeżo podupadłej, byłbym przysiągł, że mam przed sobą księżniczkę, tak bardzo wytworna powaga i szlachetne zachowanie zdradzały jej pochodzenie. Bardzo prosta i skromna suknia żałobna, która nosi zawsze, podnosiła jeszcze wspaniałość jej imponującej i promiennej postaci. Dosłownie promiennej, gdyż — pomimo zmęczenia i bólu, malujących się w jej oczach i woskowej bladości twarzy — emanowała z niej taka świeżość bujnej i nietkniętej młodości, że rozświetlała wszystko dokoła.

Powiedziałem, że piękność Jane, przeraziła mnie. Kobieta piękna jest — na nieszczęście — prawie zawsze równie płocha!... Ale pani wiedziała, ile jest warta jej protegowana; dzisiaj mogę pani powiedzieć, że uspokoiłem się zupełnie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ADAM NASIELSKI

13)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

Otarła łzy i niezrozumiały w pierwszej chwili odcień radości rozpogodził starą, biedną twarz.

— Uwielbiałam go. Było mi z nim dobrze! Byłam inna, normalna, nie miałam tych pieniędzy, ani tej... męki. Ja nie...

Zamilkła na chwilę i wahała się krótko. Jakże teraz była inna!

...— Ja się do tego wszystkiego nie nadawałam. Lecz, co miałam uczynić? Umierać z głodu, kiedy podsuwano mi do ust nawet gorzki chleb.. Przyjęłam propozycję, zgodziłam się i odtąd — już jestem inna niż przedtem. To był cios dla moich nerwów.

Inspektor domyślił się od razu, że zaszło nieporozumienie i był zadowolony.

— W jakich okolicznościach zmarł pani pierwszy mąż — detektyw nie tylo zaryzykował, ile wywnioskował z niektórych słów Stokowskiej.

— Nie wiem dokładnie. Konsulat włoski w Kairze zawiadomił mnie o śmierci męża. Podobno zachorował na jakąś tropikalną infekcję.

Konsulat włoski w Kairze. Tu tkwiła napewno tajemnica Ozyrysa. Zbieg nie mógł być przypadkowy.

— Kiedy poznała pani Erazma Stokowskiego?

— Znałam go jeszcze przedtem. On i Marco, to imię mego pierwszego męża, wyruszyli razem do Egiptu w jakichś celach handlowych. Po powrocie Erazm Stokowski oświadczył mi się. Powiedział, że Marco prosił go na łożu śmierci, aby się mną zaopiekował. Zostałam jego żoną, aby dowiedzieć się, że jemu...

Jęk płaczu był dokończeniem. Inspektor milczał i czekał. Na co? Z mgły zagadek zaczynała wyłaniać się część prawdy. Lecz jak on dopomoże do wykrycia techniki tej niesamowitej zbrodni. Może... Musiał postawić pytanie zupełnie otwarcie.

— Jak odnosiła się Janina do umizgów ojczyma?

— Lekceważyła je.

— A on?

— On był zawsze tajemniczy. Nie rozumiałam go nigdy.

„Nie rozumiałam go nigdy". W tym zdaniu streszczała się tragedia tej nieszczęśliwej kobiety. Prawdopodobnie nie rozumiała i siebie samej. Skomplikowany, zwyrodniały splot okoliczności. Na glebie takich konfliktów musi wylęgnąć się zamiar zbrodni. Wybitny adwokat miał rację. Lecz jak?...

— Kiedy Stokowski został dyrektorem banku?

— Dwa lata temu.

Czyli po przyjeździe z Egiptu... Egipt, Ozyrys, błyskawiczna kariera, strach, wezwanie policji, nowela zwracająca uwagę na słowo Ozyrys — oto był szyfr, klucz który rozwiązywał tajemnicę motywu tej niesamowitej zbrodni. Niemniej zawikłana była technika jej wykonania. Zamknięty teren, wyrafinowanie skierowane podejrzenie i...

A tu.. w prywatnym mieszkaniu zamordowanego — trzecia zagadka, niemniej może skomplikowana niż tajemnica motywu zbrodni i jej techniki — jest nią ta kobieta, o słabym charakterze, brutalnie zmiażdżonym przez bezlitosne życie. Spojrzał na pomarszczoną cierpieniem twarz, na te oczy, wyrażające kres świadomości i uznał, że niewiele konkretnego wydobędzie z niej w tej chwili. O Ozyrysa nie ma co pytać — już raz oświadczyła, że nie wie nic w tej materii i można było jej wierzyć. Musiał jej wierzyć.

Zresztą — wystarczy spojrzeć, aby stwierdzić, że Eugenia Stokowska jest już na wpół przytomna. Zadzwonił i polecił wystraszonej pokojowce czuwać przy swej pani. Zeszedł po ciemnych schodach i w bramie spotkał dozorcę.

— Widzieliście tego pana, który niedawno wyszedł. W meloniku, w płaszczu w kraty i z parasolem.

— Znam go — domyślił się dozorca.. — Ostatnio przychodzi codziennie. Nie podoba mi się jego gęba.

— Czy dyrektor Stokowski wiedział o wizytach tego pana?

— Nie mam pojęcia.

— A córkę lub żonę macie? — uśmiechnął się inspektor.

— Musowo.

— No, to poślijcie jakąś kobietę na górę do Stokowskich.. Niech „da" baczenie" na panią dyrektorową..

— Co się takiego stało, panie inspektorze?

— Dyrektor Stokowski został zamordowany. Otwierajcie..

Wsunął zdumionemu i przestraszonemu staruszkowi niklową monetę za otworzenie bramy, czym zdziwił go najbardziej, albowiem rzadko się zdarza, żeby „władza", przychodząc urzędowo płaciła „stróżowi". Tymczasem Bernard Żbik kazał się zawieźć do Centrali.

Po kilku zdaniach rozmowy przodownik dyżurny wręczył mu raport doktora Dalczewskiego, z którego wynikało, że w resztkach herbaty ze szklanki na biurku Jerzego Makarskiego stwierdzono silną dawkę kokainy, zaś woda w karafce, którą otruł się młody sekretarz, zawierała specjalnie spreparowany roztwór dynamitu, trucizny, która działa śmiertelnie i szybko.

Detektyw podziękował dyżurnemu podoficerowi, poczęstował go papierosem i już zamierzał podać mu rękę na dowidzenia, gdy krótki dzwonek telefonu zmusił go do chwilowej zwłoki.

— Halo... Centrala?... Tak...

Przodownik wręczył mikrotelefon inspektorowi..

— To do pana naczelnika.. Dzwoni pan aspirant Bilewski..

Bernard Żbik omal nie wyrwał mu słuchawki z palców.. Usłyszał cichy głos aspiranta.

— To ty? Przyjedź natychmiast.. Więcej nie mogę powiedzieć!...

— Co się stało?

Zamiast odpowiedzi inspektor usłyszał głuchy jęk i połączenie przerwano!

XV.

Dynamit.

Pamiętał ową jazdę przez całe życie, jak nie zapomniał żywiołowo przerażonej miny przodownika dyżurnego na widok naczelnika Żbika, rzucającego słuchawkę na stół i wybiegającego z pokoju, niczem w ataku szału.. Detektyw przebył schody jak huragan i dopadł samochodu..

— Wracaj do banku! Piorunem! Choćbyś miał roztrzaskać wóz na krok przed celem.

Przestraszony szofer nie zrozumiał napewno ani jednego słowa, gdyż te spłynęły z ust detektywa w bezładnym chaosie, stłumione zdenerwowaniem.. Raczej wyczytał z mimiki twarzy treść rozkazu i puścił maszynę w ruch.. Jak błyskawica wyminęli Nowy Świat, lotem strzały

przebyli Aleje Ujazdowskie.. Bagatela, ul. 6 Sierpnia. Nareszcie u celu! Tu omal nie przejechali na śmierć Więcka, który stał spokojnie na brzegu trotuaru i nucił pod nosem..

Hałas trzaskającego motoru i gwałtownego zahamowania pędu zwabił Kobylańskiego, który spojrzał ze zdumieniem na zdenerwowaną twarz swego szefa.: Wtedy Żbik zrozumiał, że oni tu jeszcze o niczym nie wiedzieli.

Nie odpowiedział na pytanie i wbiegł na pierwsze piętro. Szarpnął drzwi gabinetu mordu. Pusto.. Gdzie aspirant?...

— Stefan!!!

Donośny głos inspektora rozległ się na pustym korytarzu, jak grom — lecz Kaszub nadbiegł dopiero po trzech minutach.. Minę miał wściekłą i zawstydzoną.

— Gdzie aspirant Billewski?

— Szukam go od piętnastu minut. Rozwiał się, czy co?

— Jak?

— Nie wiem.. W pierwszej chwili widziałem go na końcu korytarza, potem usłyszałem cichy krzyk i gdy dobiegłem, było pusto. Myślałem, że pan aspirant zeszedł na parter, ale gdy znalazłem to... przeszukałem drzwi i pokoje po obu stronach.. Nic...

Wręczył detektywowi kremowego koloru rękawiczkę reniferową, którą ten odrazu poznał.

Bernard Żbik opanował się wprost nadludzkim wysiłkiem. Rozumiał dobrze, że nerwy będą teraz tylko przeszkodą.. Tu trzeba działać na zimno, spokojnie i celowo. Nie na oślep! — bo będzie tragedia.. Najpierw zniknęła Janina Stokowska, następnie aspirant.. Przepowiednia Żbika sprawdzała się..Morderca zaczynał tracić panowanie nad nerwami. Nie mógł się wymknąć, bo dom był szczelnie obstawiony — ale mógł się mścić, bo jeszcze go nie schwytano. Miał w tym napewno także cel: panikę, która dopomoże do ucieczki z terenu, na którym groziło mu już tylko widmo szubienicy.

Lecz do paniki nie wolno dopuścić. Za żadną cenę!

— Teraz może mnie pan inspektor wylać na pysk.. Miałem strzec aspiranta...

— Nie twoja wina, Stefan — tylko moja.. Chodź, pokaż mi to miejsce, gdzie stał aspirant w chwili zniknięcia. I uspokój się!

Stefan był zbyt zaabsorbowany swoją historią, aby myśleć o czymś innem. Kobylański jednak pojął odrazu, że wielki detektyw uspokaja nie służącego, lecz siebie samego.. Albowiem można było naprawdę stracić panowanie nad nerwami.. Adaś! Może leży już gdzieś w kącie, martwy, stracony rękami bestii. Na samą myśl o tym, Żbik siłą powstrzymał dosłowne zgrzytanie zębami.

— Tu, panie inspektorze — Stefan nachylił się, wskazując.

Schody w górę, schody w dół, poręcz, poprzeczny korytarz, dywan — lecz żadnych śladów.

— Gdzie znalazłeś rękawiczkę?

— W tym miejscu.

Na schodach — w dół.. A potem... Inspektor spojrzał w twarz Kobylańskiego.

— Zrewidować parter.. Już!

Sam stanął oparty o poręcz z odwiedzionym rewolwerem w ręku.. Chłopcy na dole sprawowali się cicho jakby w obliczu śmierci.. Kto wie — może mieli rację i za chwilę już przybiegnie jeden z nich...

Broń i dłoń Bernarda Żbika uniosły się automatycznie, gdy ucho jego uchwyciło odgłos kroków z góry.. Ktoś schodził... Rewolwer opadł — inżynier Downar i bez tego był przerażony.

— Pan już jest.. Dzięki Bogu! Słyszałem hałasy i zeszłem. Nie mogę spać.

— Może pan zostać ze mną, inżynierze. Moi ludzie przeszukują parter budynku.

— Jeszcze raz?

— Znikł aspirant Bilewski. Mój służący znalazł jego rękawiczkę. Pan powinien wiedzieć, inżynierze — czy tu w banku są jakieś ukryte pokoje, wie pan — nie romantyzm, ale zwykła ostrożność, powiedzmy gabinety konferencyjne..

— Nie ma na pewno. Same biura. System korytarzowy. Na każdym piętrze trzydzieści trzy pokoje i sala konferencyjna na drugim piętrze..

— Widziałem ją. Tam nikt nie może się ukryć.

— Ukryć?!

— Tak, bo gdzie jest Janina Stokowska i aspirant?.

Inżynier Downar nie odpowiedział, bo i co miał odpowiedzieć. Pytanie Żbika było raczej odpowiedzią na zdziwione „ukryć" sekretarza. Był przybity zdarzeniami i może nawet nie słuchał.. Nie można było mieć doń pretensyj za egoizm. Przede wszystkim myślał o sobie — a śmierć jego szefa groziła mu utratą posady w tak ciężkich czasach. Te obawy uwidaczniały się w kilku zdaniach, jakie zamienił z detektywem.

Lecz Bernard Żbik również nie myślał o posadzie inżyniera Downara. Jego nerwy były gdzieindziej. Uspokoił się tylko na chwilę, gdy zjawił się Kobylański i zaraportował krótko, że rewizja nie dała wyniku.

— Szukaliście wszędzie?

— Opukaliśmy ściany, panie naczelniku.. Tam nikt nie mógł się ukryć.

Raport Wielgusa, Rogalskiego, Więcka i Sznajdera, pilnujących gmachu od zewnątrz stwierdzał kategorycznie, że w czasie nieobecności inspektora nikt nie wyszedł ani wszedł do gmachu. Dziennikarzy pilnowaliśmy elegancko i ani jeden... O to nie ma obawy, panie inspektorze.

Nie ma obawy? Pół do trzeciej po północy. Dziesięć i pół godziny minęło od chwili mordu — tu nic.. Wcale się nie zapowiada na to, żeby morderca mógł być ujęty. Przeciwnie! Jeden człowiek, który zabił dwie osoby, uwięziony w zamkniętym, okratowanym domu z „załogą" dwudziestu dwóch ludzi — drwił z Bernarda Żbika, porwał świadka, który znał tajemnicę Ozyrysa i aspiranta, najpewniej w chwili gdy ten coś zauważył.

I czeka. Zimno, odważnie, bez nerwów. Za trzy, dwie godziny zacznie świtać, skończy się noc, zgroza zblednie... przecież policja nie może okupować domu w nieskończoność, ani prasa długo być utrzymywana w błędzie. Otworzą w końcu „zet" wyjdzie sobie spokojnie i zniknie..

Nie, przecież „zet" porwał dwie osoby. Nie można tak łatwo ukryć, nawet w takim gmachu — dwoje dorosłych ludzi.. Chyba, że są nieżywi... Dreszcz przeniknął Żbika aż do szpiku kości.. Więc znów miał zatrzymać się na martwym punkcie i czekać na nieznane i niewiadome?....

Ściągnął brwi i zamyślił się.. Inni milczeli. Kobylański patrzył ponuro w ziemię, lecz nic nie przychodziło mu na myśl. Inżynier Downar ponuro zapalał papierosa od niedopałka. Wielgus zagryzł wargi i wystąpił krok naprzód.

— Panie naczelniku, my nie zostawimy tak naszego aspiranta?

— Co byś radził, Wielgus — zapytał Żbik mimowoli.

Nie otrzymał odpowiedzi. Sam myślał zawzięcie i nie widział wyjścia. Teraz, gdy „zet" miał w ręku zakładnika, trzeba było zaniechać myśli o redykalnych środkach. Wielki detektyw zrozumiał, że natrafił na groźnego przeciwnika.

Strategia obrony nie była tu przypadkowa, lecz obmyślona z diabelską precyzją.

— Nie, Wielgus. My odnajdziemy pana aspiranta.. Nie bójcie się, chłopcy.

— My wiemy, że pan naczelnik...

Bernard Żbik skinął na inżyniera Downara

— Czy nie rozporządza pan przypadkiem dobrą liną ?

Kobylański i Wielgus zrobili wielkie oczy. Także inżynier był zdumiony i wcale tego nie ukrywał.

— Lina ?

— Jest mi potrzebna. Byłbym panu zobowiązany za dostarczenie. Nie znam rozkładu banku.

— Wiem, że w dyżurce Lipińskiego powinien się znajdować długi, mocny sznur.

— Wystarczy. Czy nie byłby pan łaskaw mi go przynieść.

— Chętnie.

Inżynier skierował się ku schodom na parter potrząsając ze zdumieniem głową. Wrócił po kilku minutach ze zwiniętym kłębem sznura w ręce.

— Zawołaj tu Lipińskiego, Wielgus.

Wywiadowca pobiegł, lecz nie wrócił tak prędko. Okazało się, że woźny wciąż spał, obok zaimprowizowanego „bufetu", jaki urządzili sobie policjanci — i nie można było się go dobudzić.

Zostawcie, niech leży aż do wytrzeźwienia. Kobylański, każcie przodownikowi Kłosowi obejść posterunki wszystkich chłopców na dole i sami wróćcie do mnie. Wielgus, możesz zostać, i pan, inżynierze. Chcę wam coś powiedzieć.

Jeden mały wywiadowca, stały współpracownik Żbika od początku jego kariery, nie zdziwił się nagłej zagadkowości Żbika. Znał go dobrze i mógł przysiąc, że imponująco skoncentrowany inspektor jeszcze nic nie zrobił bez powodu. Czekał więc z dreszczem napięcia, aż do przybycia Kobylańskiego. Stali, czterech, na końcu korytarza, w tym samym miejscu, gdzie Stefan znalazł rękawiczkę aspiranta Bilewskiego.

Bernard Żbik nie lubił tracić czasu.

— Proszę panów — zaczął odrazu — zbliżamy się do końca sprawy, przedstawiającej się następująco: W gmachu banku przebywa „zet", morderca dwóch osób, który ponadto ukrył gdzieś aspiranta Bilewskiego i Janinę Stokowską, córkę jednej ze swych ofiar. Tajemnica zagadki obu zbrodni kryje się w słowie „Ozyrys", którego znaczenia zaczynam się domyślać.. Nie będziemy szukać aspiranta i Janiny, gdyż wiem, gdzie oboje są ukryci, i tylko dlatego jestem dotychczas taki spokojny) Inna rzecz, czy żyją jeszcze oboje, ale...

Urwał nagle i zbladł. Wielgus nie dostrzegł tego w półmroku, panującym na słabo oświetlonym korytarzu pierwszego piętra..

— A morderca, panie naczelniku?

— Z tym będzie nieco trudniej, ale to jest kwestia nieco późniejsza. Przede wszystkim musimy uwolnić pannę Stokowską i aspiranta. I w tym celu...

Cichy trzask dochodzący od strony hallu na parterze przerwał inspektorowi. Ponieważ stał tuż obok poręczy, więc dostrzegł coś na podobieństwo błysku magnezji. Przechyli się i widział wchodzącego po schodach przodownika Kłosa który trzymał w ręce arkusz papieru złożony we dwoje..

— Melduję panu inspektorowi, że posterunkowy Klimczak znalazł, to, tuż po usłyszeniu trzasku i błysku.. Leżało na podłodze obok tego pudełeczka.

Wręczył swemu zwierzchnikowi nawpół spalone pudełko od zapałek.

— Leżało to obok drzwi wejściowych, przy kolumnie, prawda Kłos ?

— Prawda — wyjąkał zdumiony przodownik

— Skąd pan inspektor wie? Przecież stąd nie można było widzieć nic prócz błysku magnezji.

Detektyw nie wyjaśnił. Otworzył złożony arkusz i przeczytał ołówkowy, niestaranny napis:

> Jeżeli nie opuścicie gmachu w ciągu piętnastu minut, cały bank wyleci w powietrze wraz z Janiną i aspirantem Bilewskim — gdyż za kwadrans uruchomię dynamitowy mechanizm wybuchowy..
>
> OZYRYS..

W pierwszej chwili Bernard Żbik, poważny kryminolog, miał ochotę roześmiać się beztrosko z tego iście literackiego wybryku mordercy. Rysy jego twarzy spoważniały jednak natychmiast, gdy przypomniał sobie zdanie z protokółu autopsji. Jerzy Makarski otruty został roztworem dynamitu. A człowiek, który dopuścił się dwóch zbrodni w zamkniętym terenie nie miał już nic, ale to absolutnie nic do stracenia!

Ozyrys! Znów to tajemnicze słowo, pod którym kryje się jednak żywy, realny człowiek z krwi i kości i z patologicznym mózgiem mordercy. Ten, który zabił i boi się, drży straszliwie przed wymiarem sprawiedliwości — jaki go nie minie. Teraz zrezygnował już z maski, ze zwalania winy na swą drugą ofiarę, na Jerzego Makarskiego, którego przedtem opiątał piekelnie misternym drutem kolczastym poszlak, tak genialnie przygotowanych najtwardszą premedytacją. Teraz już „zet" wie, że nie uda mu się wyjść drogą normalną, albowiem miał nieszczęście natrafić na detektywa w osobie Bernarda Żbika..

„Zet-Ozyrys" zdecydował się więc działać.. Cóż więc miałoby go powstrzymać od wykonania przerażającej groźby wysadzenia banku w powietrze? Skoro obliczył tak niesamowicie samo zabójstwo Erazma Stokowskiego, mógł też w ten sam diabelski sposób przygotować wybuch bomby dynamitowej... A zatem? — usłuchać go, przestraszyć się groźby i ewakuować teren zbrodni, pozwolić ujść potwornemu mordercy ? O tym oczywiście nie ma co myśleć, i zbrodniarz — o, to nie jest przeciętny typ „klienta szubienicy" — napewno zdaje sobie sprawę z faktu, że inspektor Bernard Żbik nie ulęknie się takiej pogróżki. Więc czemu napisał ten zwariowany list? Otóż to, zwariowany. Dowodzić to mogło jednego, że strach „zeta" przekroczył już granice normalności, Ozyrys jest przygotowany na wszystko i postanowił zagrać va banque. Albo... albo! W takim razie życie Adama Bilewskiego i Janiny Stokowskiej również wisi na włosku.

A jednak — ku przeogromnemu zdumieniu Wielgusa, Downara i Kobylańskiego — Bernard Żbik odetchnął nagle głęboko, z prawdziwą ulgą. Z listu mordercy wynikało jasno — o ile nie skłamał — że Adam i córka zabitego żyją. Więc nic jeszcze nie jest stracone. I wielki psycholog zdecydował się działać bez zwłoki.

W oczach jego zabłysła śmiertelna powaga i stalowa decyzja, gdy metalicznym, owym nieodparcie narzucającym bezwzględny posłuch głosem rozkazał Wielgusowi:

— Zejdziesz nadół i sprowadzisz tu Więcka, Sznajdera i Rogalskiego. Razem z nimi przybędziesz na górę, do pokoju mordu.. Zaczekacie przed drzwiami.

— Rozkaz, panie naczelniku..

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 25 lipca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja z obozu harcerskiego w Sierakowie 10.30 Orkiestra Marka Webera i soliści — płyty 12.03 Wśród jezior i rzek: „Poranek muzyczny" 13.10 Koncert rozrywkowy 14.40 „Wróg" — opowiadanie B. Hertza dla dzieci; 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Tańce — koncert 16.30 Gra Edwin Fischer — płyty 17.00 Słuchowisko — koncert 18.00 Koncert rozrywkowy dla dzieci i młodzieży 20.00 Letnie impresje — płyty 21.00 „Dziwy w Kazanowie" — komedia muzyczna 22.00 Recital skrzypcowy Stefana Frenkla 22.30 Pieśni Roberta Schumanna.

Poniedziałek, dnia 26 lipca 1937 r.

6,15 Audycja poranna; 12.25 Muzyka (płyty); 12.40 Od warsztatu do warsztatu: „Polscy wikliniarze"; 16.00 Jak się oswaja dzikie zwierzęta — pogadanka; 16.15 Z mego ogródka — pieśni; 16.45 Mistrz wszelkich tajemnic — Paracelsus (felieton); 17.00 Koncert rozrywkowy; 18.05 Melodie z amerykańskich filmów rewiowych (płyty); 19.00 Audycja strzelecka; 20.00 Wiązanka melodii Roberta Stolza; 21.45 Powieść mówiona: „Wakacje pani Wandy"; 22.00 Recital fortepianowy Stanisława Niedzielskiego; 22.35 Fragmenty ze suity „Piękne dziewczę z Perth" (płyty).

Wtorek, dnia 27 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna; 12.25 Dęta orkiestra B. B. C. (płyty); 16.00 Zagadka geograficzna — dla dzieci starszych; 16.20 Piotr Czajkowski: kwartet smyczkowy es-moll op. 30; 16.50 Straszny bór — felieton; 17.05 Ze świata operetek. Koncert orkiestry wileńskiej: 18,15 Walce i polki Jana Straussa (płyty); 19.00 „Kawusia z kożuszkiem" — skecz; 19.15 Recital śpiewaczy Sławy Orłowskiej-Czerwińskiej; 20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R.; 21.45 Powieść mówiona „Wakacje pani Wandy": 22.00 Utwory skrzypcowe Kamila Saint - Saens'a (płyty).

Środa, dnia 28 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.15 Jak budować na wsi — pogad. 12.25 Orkiestra salonowa (z Łodzi) 16.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki W. Rogowicza 16.15 Trio Polskiego Radia 16.45 „Wspomnienie ze Szczypiorny" — odczyt 17.00 Koncert solistów 17.50 „Buduję własny dom" — „Urządzenie wnętrza" — pogadanka 18.15 Muzyka lekka z udziałem Marty Eggerth — płyty 19.00 Słynni dyrygenci — 15-ta audycja — płyty 20.00 „Za tą chatą co to Jana" — letnia bajka 21.00 Koncert chopinowski 21.45 Powieść mówiona „Wakacje pani Wandy" 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 29 lipca 1937 r.

6.30 Auedycja poranna 12.25 Koncert Orkiestry Wojskowei 16.00 „Turu - Kadu" — opowiadanie K. Giżyckiego dla dzieci 16.15 Pieśni ludowe śląskie 16.40 „Na obozie" — gawęda 16.55 Symfonie Beethovena — III audycja — płyty 18.15 Instrumenty orkiestrowe w roli solistów — płyty 19.00 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Stara Baśń 20.00 Konc rt muzyki lekkiej i tanecznej 21.45 Powieść mówiona: „Wakacje pani Wandy" 22.00 Recital skrzypcowy Eugenii Umińskiej 22.30 Ludowe pieśni hiszpańskie.

Piątek, dnia 30 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra Klubu Mandolinistów „Sempre-Vivo" 16.15 S. Karg-Elert: Aforyzmy o kobiecie — w wyk. na fortepian 16.45 Nasi emigranci w drodze do Ameryki — reportaż 17.00 Lekka muzyka kameralna (z Krakowa) 17.50 Z wabikiem na rogacza — pogadanka 18.05 Pogadanka konkursowa 18.10 Orkiestra Jacka Hyltona i Barbary Geczy — płyty 19.05 Transmisja opery Wolfganga Mozarta „Czarodziejski flet" 22.05 Powieść mówiona: „Wakacje pani Wandy" 22.20 Muzyka taneczna — płyty.

Sobota, dnia 31 lipca 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra pod dyr. A. Furmańskiego i Czaplarskiego 16.00 Teatr Wyobraźni dla dzieci młodszych 16.30 Fragmenty z operetek i najpiękniejsze walce J. Straussa 17.10 Polskie pieśni i utwory fortepianowe 17.50 „Darabami po Czeremoszu" — pogadanka 18.15 Zapomniane pieśni chóru Eryana — płyty 19.00 Orkiestra Marynarki Wojennei 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.05 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

HUMOR

SŁABY PUNKT

Ksiądz zwiedza cele więzienne.

— A ty, mój przyjacielu, za co tu siedzisz?

— Jestem skazany, ojcze, za to, że jakoby ukradłem zegarek. Wyrok jest wprost niewiarogodny... Miałem doskonałego adwokata, świadectwo moralności, zebrałem ośmiu świadków, którzy widzieli mnie owego fatalnego dnia w miejscu, oddalonym o 150 km. od miejsca kradzieży...

— Więc dlaczego cię skazali?

— Był jeden słaby punkt..., zegarek znaleźli w mojej kieszeni. I przy tym jednym punkcie się oparli... i ani rusz...

ATAK GAZOWY

Kupściowa stoi przy oknie i spokojnie przygląda się ruchowi ulicznemu.

Nagle zrywa się i krzyczy:

— Alarm gazowy! Wszyscy do piwnicy! Inkasent z gazowni idzie!

DIETA SURÓWKOWA

Podczas dyskusji, jaka toczyła się w pewnym klubie na temat pożyteczności surówki oraz pożywienia roślinnego i mięsnego, poszczególni mówcy opowiadali o swoich osobistych doświadczeniach. Pewien bardzo płodny liryk wywodził:

— Mogę jedynie jak najgoręcej polecić każdemu pracownikowi umysłowemu powstrzymanie się od mięsnego pożywienia. W ciągu całego swego życia nie napisałem tyle utworów, co w okresie odżywiania się wyłącznie pokarmami roślinnymi.

— Z pańskiego przykładu można by również wywnioskować, że przez wyeliminowanie pożywienia mięsnego obniża się w niesłychanym stopniu samokrytycyzm!

KOSTIUM PLAŻOWY

— Mężu, proszę mi przynieść papierośnicę. Jest w torebce.

— Nie potrzeba, kupimy papierosów na plaży.

— Widzisz, chodzi o to, że zostawiłam w papierośnicy mój kostium kąpielowy.

W SĄDZIE

Sędziowie rozpatrują sprawę o zamordowanie teściowej.

— Z tego wynika — mówi przewodniczący — że oskarżony nadal nie chce się przyznać do winy?

— Tak, proszę sądu, zastrzeliłem moją teściową przypadkowo.

— Jakże to było?

— Ano, zwyczajnie. Stanęła między mną a żoną w chwili gdy rewolwer wypalił.

U ZEGARMISTRZA

— Więc to nie żarty? Pan sprzedaje te zegarki po trzy złote pięćdziesiąt?

— Tak jest, proszę pana.

— Ależ pan na tem nic nie zarabia.

— Ani grosza. Ale zato potem zarabiam, bo klienci przynoszą zegarki do naprawy.

TO NIEMOŻLIWE

— Popatrz, to fotografia mego dziadka, gdy miał dwanaście lat.

— Jak to możliwe? Dwunastoletni chłopak dziadkiem!

W BIURZE

Pan Kowalski zaangażował do biura nowego pracownika, Zbigniewa. Pan Zbigniew, przystojny, elegancki młodzieniec, wpadł w oko szefowej.

Pewnego dnia pan Kowalski wezwał do gabinetu swego pracownika i rzekł:

— Panie Zbigniewie! Cóż to takiego ma znaczyć? Przyjąłem pana do prowadzenia korespondencji, a nie do flirtowania z moją żoną.

— Pan szef wybaczy... ale buchalter też...

— To co innego! Buchalter pracuje u nas trzy lata, a pan dopiero trzy dni!

ZA PÓŹNO

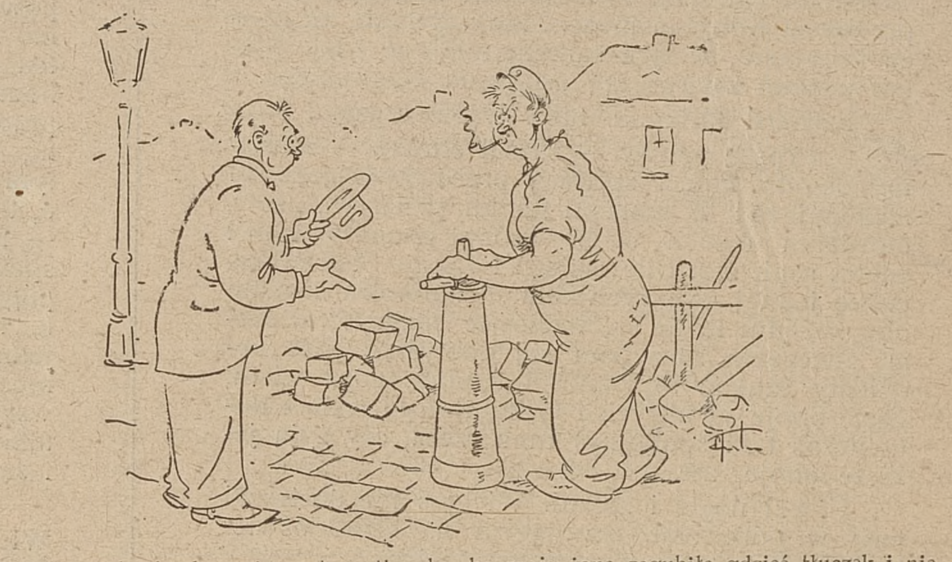
— Ja pana nauczę, smarkaczu, całować moją córkę!

— Za późno panie Kudel, właśnie się nauczyłem.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pan Baranowski. Podajemy uprzejmie, że jakkolwiek zadowoleni jesteśmy z materiału dostarczonego nam przez Pana, to jednak na wiersze ludowe nie reflektujemy.

Honorarium za dwa ostatnie wiersze przekazaliśmy. Pozdrawiamy Pana serdecznie i życzymy, aby wakacje spędzone na łonie natury dały Panu mnóstwo nowych pomysłów i natchnienia.



Może mi pan na chwileczkę pożyczy tego tłuczka, bo moja żona zagubiła gdzieś tłuczek i nie może posiekać mięsa....

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a preumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450.— złotych. 1/2 strony 225.— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.